

WO

wysokie obcasy

wyborcza

wysokieobcasy.pl NR 50 (962) Sobota 23 grudnia 2017

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej”. Sprzedawany łącznie z „Wyborczą”

CHODŹCIE,
ZJEMY RAZEM
CZYŚCI I BRUDNI

SZARLOTA PAWEŁ
KOMIKS Z KLEKSEM

#CIAŁOPOZYTYWNA
HELEN MIRREN

AMOS OZ O MIŁOŚCI

OBIECAŁEM JEJ,
ŻE NIE BĘDZIE DNIA,
W KTÓRYM
BY SIĘ NIE ŚMIAŁA



EWA WICZOREK

– redaktorka naczelna

Więcej uwagi, mniej nawracania



eną mojej przyjaźni nie może być czyjaś dusza” – mówi Australijka Anji. Od 25 lat z mężem i dziećmi wprowadza się do najbardziej zaniedbanych dzielnic od Bangkoku po Birmingham, by zmieniać na lepsze życie ich mieszkańców.

Jest głęboko wierząca, ale ma zasadę, od której nie odstępuje – nigdy nie ewangelizuje. Słucha, patrzy, by odgadnąć marzenia sąsiadów, którzy przyniesieni biedą, bezradnością, beznadzieją o marzeniach nawet nie marzą. „Być dobrym chrześcijaninem to znaczy: pomagać sierotom, zaprosić bezdomnych do domu, nakarmić głodnych, ubrać nagich. I to właśnie staram się robić”.

Chłopaki, które co niedziela gotują zupę na krakowskich Planach, zapraszają na kalafiorową czy fasolówkę wszystkich: czystych, brudnych, bezdomnych i turystów. Miska w misce jedzą katolicy, muzułmanie i ateści. Ciekawe swoją drogą, czy łyżka w łyżkę pałazuje też prawica z lewicą.

Nie odpędzają pijanych, mówią tylko: „Spróbuj za tydzień taki nie być”. Na pytanie, ilu osobom pomogli, odpowiadają, że jedno, co pewne, to to, że bezinteresowność daje szczęście.

Pewnie korciłoby mnie, by teraz napisać o wszechogarniającej miłości, która zbawi świat, gdybym nie przeczytała przeciekawej rozmowy z Amosem Ozem. Jest sceptyczny wobec słów swojego – jak mówi – ukochanego krajana Jezusa Chrystusa, że miłość jest odpowiedzią na wszystko: „Nie jest. Po pierwsze, dlatego że to rzadko spotykany minerał. Nie jest możliwe – ze względów fizycznych i emocjonalnych – by kochać całą ludzkość. Jeśli ktoś twierdzi, że kocha Amerykę Łacińską albo że kocha ludzi ubogich, albo że kocha kobiety – to znaczy, że nie kocha tak naprawdę nikogo”.

Ale równocześnie mówi, że ci, którzy nie kochają i nie są kochani, choćby dokonali wielkich rzeczy i odnieśli ogromne sukcesy, są na wpół martwi.

Więc życzę nam wszystkim świętecznie: więcej uwagi, mniej nawracania. I miłości, choćby najtrudniejszej. ●

List tygodnia

Piszcie do nas: wysokieobcasy@wyborcza.pl



igilia, zapach cynamonu, wanilii, smażonej ryby, suszonych grzybów. Co rok przenosimy się z domu do domu, ale zapachy wciąż te same. Choinki już dawno nie stawiamy, od kiedy dzieci podrosły. Girlandy z supermarketu, żeby nie wiem jak je ustroić, nie pachną.

Przy stole w porywach 14 osób, starszych i młodszych. Rodzina kulturalna, na ogół przyjazna, pomocna.

Tylko siadać do stołu i cieszyć się, cieszyć i koledować Malemu... To dlaczego zawsze już na tydzień, dwa przed Świętami czułam dziKI ucisk w podbrzuszu, a kołatanie serca i szczykościsk nie pozwalały mi zasnąć?

Nie będę oryginalna. Z powodu klótni przy stole. Żeby nie wiem

jak się starać, zawsze ktoś wdepnął na grząski grunt i się zaczynało. Problemem był mój tata, który z niezrozumiałych powodów zawsze miał zdanie odmienne od innych. I to jak odmienne, rany... Kilka lat temu tata nieomal zginął w wypadku. Wyszedł z niego całkowicie odmieniony. Nie żeby zmienił poglądy polityczne czy jakiegokolwiek. Po prostu stracił orientację w bieżących sprawach, pamięć krótkotrwała zupełnie go zawodzi, z dawnych czasów pamięta też niewiele. Paradoks rządzi światem... Od tych kilku lat Święta znów zaczęły cieszyć, zniknął ucisk w sercu i brzuchu. Przy stole może jest nudniej, ale bez porównania zdrowiej.

Tak, uważam, że ten wypadek uratował naszą rodzinę. Dzięki niemu spotykamy się z przyjemnością nie tylko w Święta, ale i bez okazji. Już nie tylko my, córki, nie mamy z tym problemu, ale także nasi mężowie czy dorosłe już wnuki. Z dzidkiem wprawdzie nie pogadają, ale też nie zostaną objechane za jakieś głupstwo. Dlaczego musiało dojść do tragedii, żeby Świętom przywrócić został ich urok, ich podstawowy cel? ● Helena

Autorka listu

otrzyma zapach Michael Kors Women, książkę Katarzyny Wężyk „Kanada. Ulubiony kraj świata”, wyd. Agora, oraz płytę „Tak mi się nie chce” Mikromusic, wyd. Agora/yMusic

Za tydzień w „WO”

● Numer nadzwyczajny: 50 śmiałych 2017. I pięć okładek do wyboru! Poszukajcie w kioskach ulubionej albo zbierzcie wszystkie!



REDAGUJA:
Ewa Wiczorek
– redaktorka naczelna

Monika Tutak-Goll
– zastępczyni redaktorki naczelnej
REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Ewa Wiczorek
KULTURA:
Paulina Reiter
REPORTAŻ:
Karolina Domagalska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra
Lubańska-Czubak

MODA, STYL ŻYCIA:
Karolina Sulej
PROJEKT GRAFICZNY:
Maciej Kalkus
DYREKTORKA ARTYSTYCZNA:
Anna Dykowska
GRAFICY:
Marta Szamburska,
Dariusz Sierant
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Wozniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Zuzanna Przywuska,
Anna Biela,
Małgorzata
Charewicz-Mostowska,

Paweł Bajer
PRODUKCJA:
Dorota Jezierska
INTERNET:
Dorota Goluch,
Anna J. Dudek,
Magdalena Karst-Adamczyk,
Martyna Kraus-Piątek
KOREKTA:
Małgorzata Mysłowska
SEKRETARIAT:
Katarzyna Seiler,
Anna Mulewska

WYDAWNICTWO:
Agora SA

PREZES ZARZĄDU:
Barbora Hojka
WYDAWCA:
Jerzy B. Wójcik
DYREKTOR WYDAWNICZA:
Joanna Mosiej-Sitek
SZEFOWA WYDAN SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Joanna Kwos
KIEROWNIK SPRZEDAŻY:
Katarzyna Obidawska
DYREKTOR MARKETINGU:
Monika Brason
SPECJALISTA DS. PROMOCJI:
Adrianna Dobrzyńska

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Robert Mołdaszek
NAŚWIETLANIE I DRUK:
Agora SA Pila
ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10,
00-732 Warszawa,
tel. 22 555 47 03
e-mail:
wysokieobcasy@wyborcza.pl

Na stronach 3, 5, 7, 9, 23, 29, 55,
59, 45, 48 zamieszczone są
materiały reklamowe
„Wysokie Obcasy” nr 50 (962)
NA OKŁADCE:
AMOS OZ
FOT. STEVE PYKE/COURTESY
OF „THE NEW
YORKER”/CONTOUR/GETTY
IMAGES

Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz
zastrzega sobie prawo do ich
redagowania i skracania.

perfect TONE

100% DOPASOWANIA*

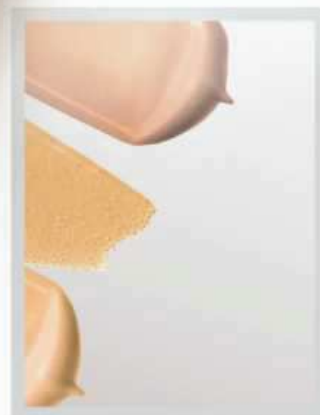
chłodne i ciepłe
odcienie



*Test IN VIVO, ocena w grupie kobiet po 2 tygodniach stosowania.



pigmenty
soft focus



Sekretem 100% dopasowania fluidów **perfect TONE** jest wyjątkowa formuła i szeroka gama kolorystyczna. Podział na ciepłe i chłodne odcienie umożliwi wybór najlepszego koloru dla Twojej cery, a pigmenty „soft focus” dopasują się do jej naturalnego kolorytu.

Marta Parciak, Make-up Artist Lirene (blog Zmalowana)

INNOWACJE stworzone
przez kobiety dla KOBIEC

Lirene
DERMOPROGRAM

JAK UNIKNĄĆ MOLESTOWANIA

Tak jakoś wyszło, że w szczytowej fazie dyskusji o polskiej odsłonie #MeToo byłam pochłonięta organizowaniem urodzin syna

Z perspektywy dziejów świata piętnastocioro spragnionych rozrywki dziewięciolatek to drobiazg, ale dla mnie ten kinderbal był sprawą największej wagi. Jubilat czekał na niego od pół roku, a teraz panikował. Nikt nie przyjdzie. Przyjdą, ale będzie beznadziejnie. Dziewięć lat to trudny wiek. Z jednej strony boi się taki dziewięciolatek upokorzenia, straszliwie mu zależy na akceptacji grupy. Jest już prawie nastolatkiem. Inni to mają fajnych rodziców, jego są do kitu. Zwłaszcza mama. Z drugiej strony potrafi niespodziewanie zamienić się w przedszkolaka, rozplakać, zażądać przytulania (ale żeby nikt nie widział). Teraz pomnóżcie to przez 15 i macie urodzinowy kinderkoszmar.

Kątem oka obserwuję, jak się dzielą: otóż dzielą się genderowo. Dziewczynki są tylko dwie, już się zakumpowały, przyłączył się do nich chłopiec, który nikogo tu nie zna. Pora na jedzenie. Gromada wchłania nieprawdopodobną ilość pizzy i patrzy na mnie wyczekująco. Najwyraźniej spodziewają się moderowanych gier i zabaw. Nieco spanikowana dzielę ich na grupy. Każda ma wymyślić zadanie

aktorskie dla innych. Po chwili widzę, że zbliża się katastrofa. Dwa z pięciu zespołów (oba chłopięce) wymyśliły zadania polegające na... molestowaniu dziewczynek. A konkretnie jednej - uroczej, energicznej i wesołej X. Widzę wypisane dziecięcymi kulfonami: „Pocałujcie X”, „Przytulcie X”. Biorę głęboki oddech i zadaję sobie pytanie, co zrobiłaby Susan Sontag (czytam ją ostatnio i podziwiam). Odpowiedź: Sontag z całą pewnością nie urządziła kinderbalów, tylko czytała wielką literaturę i pisała erudycyjne teksty. Chciałaś, to masz.

Rzucam niby od niechcenia: „A może X nie ma ochoty być przytulana i całowana? Może jej będzie przykro?”. Ku mojemu zdumieniu chłopcy natychmiast się wycofują. No tak, może być jej przykro. Może się wstydzić. Nie chcemy tego, lubimy ją. Ma być śmiesznie. Po minucie jest nowe nabazgrane zadanie: wymyślcie taniec do piosenki „Orki z Majorki”. Z drugą grupą jest podobnie. Przyznają, że to głupi pomysł, i zapisują nowe zadanie. Jest bardzo, bardzo śmieszne, dotyczy głośnego bekania (to jednak nie są nastolatki). I już. Akcja edukacja zakończona. Impreza uratowana. Przyglądam im się z zacięciem. Za kilka lat ci chłopcy przepoczwarzają się w młodych mężczyzn, już widzę kielkującą dorosłość w ich twarzach. X będzie młodą kobietą - uroczą, energiczną i wesołą. Oni nie będą chcieli, żeby jej - i innym młodym kobietom w ich otoczeniu - było przykro. Empatia. Namysł nad tym, co czuje druga osoba. To zupełnie wystarczy. Życie jest piękne. Wesołych Świąt. ●



Agnieszka Graff

– feministka, publicystka, wykładowczyni na UW, autorka wielu książek, m.in. „Matka feministka”

BLUES ZIMOWEGO PRZESILENIA

Felieton powinien dotyczyć spraw aktualnych. No więc aktualnie jest zgiełk

Radio (telewizji unikam) pluje zachętami do nabycia cudownych pigulek usuwających zmęczenie, cudownych preparatów usuwających nadwagę i maści na szczury. W przerwach między reklamami opluwają się politycy. Melancholijne „kto się w opiekę odda Panu swemu” sączące się na częstotliwości 89 Mhz zdaje się krynicą spokoju.

Billboardy szczerzą się promocjami. Gąbka na patyku z pojemnikiem na mydło kuchenne. Tylko 3,99. Zamiast 7,49. Musisz to mieć. Ostatnia okazja na niepowtarzalny prezent. Jak sobie wyobrażasz dalsze życie bez gąbki ze stelażem? Skupienie się na decyzji, czy lepszy telewizor full HD czy 4K, pozwoli ci zapomnieć na chwilę o kryzysie demokracji.

Im bardziej przyroda pogrąża się we śnie i w ciemności, tym bardziej zgiełk się podnosi, jakby kultura nie mogła wytrzymać zimowego wyciszenia. Wszystkiego

za dużo. Za dużo światła w ciemności, za dużo jedzenia, za dużo zapachów sztucznego świerka i sztucznego cynamonu, za dużo aromatu goździków w kawie, za dużo gadania. I nic się nie zmienia.

*Ja od nienawiści/ oraz od hałasu,
zamiast uciec w buddyzm,/ chowam się do lasu*
– śpiewał Kelus w opowieści o jeżach. Tyle że lasów też jakby ostatnio mniej.

Przyjaciółka z lat młodości obserwuje rozbłyśki gamma gwiazd neutronowych. Nasłuchuje echa katastrof kosmicznych sprzed półtora miliarda lat. Bada fale grawitacyjne - zmarszczki czasoprzestrzeni powstałe przy zderzeniach masywnych czarnych dziur.

Sprawdza, co jest szybsze - światło czy grawitacja. Na razie do 15. miejsca po przecinku wyszedł jej remis.

Już się cieszy na to, że za kilkanaście lat ukryty głęboko pod ziemią przed wszelkim szumem teleskop Einstein dostarczy dane o dziesięciokrotnie większej dokładności. Będzie mogła zlustrować tysiącrotnie większy obszar Wszechświata niż dziś. A może nawet zajrzeć przed początek czasu.

Zazdroszczę jej tego pochylenia się nad wszechwiedzą. Bez zgiełku. ●



Irena Cieślińska

– dziennikarka, popularyzatorka nauki, racjonalistka



Skuteczny sposób na pozbycie się przebarwień

Przebarwienia skóry to problem powszechny i niełatwy do usunięcia. Wychodząc naprzeciw potrzebom osób chcących pozegnać nieestetyczne plamki na skórze, Sesderma opracowała specjalistyczną linię Azelac RU z kwasem azelainowym – najlepsze rozwiązanie na zaburzenia pigmentacyjne.

Zmiany barwnikowe, ciemne plamki, melasma – zaburzenia pigmentacji są problemem powszechnie dotykającym kobiety w okresie zwiększonej ekspozycji na słońce, przy zmianach hormonalnych, zażywaniu leków czy ciąży. Niestety, pozbycie się nieestetycznych przebarwień bywa bardzo trudne.

Azelac RU Serum liposomowe 30 ml — 1.

Intensywne serum depigmentujące z wysoką koncentracją substancji aktywnych, działających bezpośrednio na źródło przebarwień. Badanie skuteczności depigmentującego serum z linii Azelac RU wykazało, że po 8 tygodniach stosowania badane osoby zaobserwowały ograniczenie wskaźnika melaniny o 38%. 95% użytkowników zaobserwowało efekt depigmentacji, 75% – ograniczenie rozmiaru przebarwień, 90% – rozjaśnienie przebarwień.

Codzienna pielęgnacja w kuracji depigmentacyjnej

– Walkę z przebarwieniami należy zacząć od ochrony przed słońcem, jednym z głównych powodów ich powstawania. Jeżeli przebarwienia już się pojawiły, powinniśmy stosować specjalne produkty, które je rozjaśnią i ograniczą ich ilość. Najlepsze produkty, takie jak linia Azelac RU, zawierają kwas azelainowy, 4-butylozorcynol oraz, najnowsze odkrycie, czynniki wzrostu pochodzenia roślinnego. Trzeba wybrać produkt odpowiadający naszym potrzebom: serum na intensywne miejscowe przebarwienia lub krem-żel dla skóry z objawami fotostarzenia. Mogą być stosowane samodzielnie lub jako uzupełnienie gabinetowych kuracji depigmentujących.

– mówi dr Gabriel Serrano,
założyciel marki Sesderma i Mediderma.



Azelac RU Krem-żel 50 ml — 2.

Krem-żel depigmentujący zawierający substancje rozjaśniające, takie jak kwas azelainowy, 4-butylozorcynol oraz, najnowsze odkrycie, czynniki wzrostu pochodzenia roślinnego, które nie tylko redukują objawy fotostarzenia skóry, ale też zmarszczki. Azelac RU Krem-żel to prawdziwa innowacja – produkt ma zarówno działanie depigmentujące, jak i przeciwstarzeniowe.

CZEŚĆ CIEŚNI

Pierścień z dwiema dużymi kulkami. Bransoletka z zaokrągloną płytką. W sumie siedem obiektów. Piękne, niektóre trochę dziwne. Nie do końca wiadomo, co to. Czy to się nosi?



TEKST
PAULINA DOMAGALSKA



EWA DULCET



MARTYNA ŚWIERCZYŃSKA



Tak. I to nie dla kaprysu. Te obiekty to biżuteria z funkcją terapeutyczną. Dzięki temu, że kulki na pierścionku się obracają, można sobie wykonać masaż, np. nadgarstka. Z kolei bransoletka działa trochę jak równoważnia. Kiedy siedzisz przy biurku, możesz oprzeć dłoń na zaokrąglonej płytce - jej opływowy kształt wymusza odpowiednie ruchy ręką. Dzięki temu mięśnie nadgarstka będą działać bardziej równomiernie i nie pozostaną przez długi czas w bezruchu.

To kolekcja MIKO+, projekt dyplomowy Ewy Dulcet i Martyny Świerczyńskiej.

W listopadzie 2017 r., podczas tygodnia designu w Dubaju, ich projekt uznano za najlepszy wśród prac dyplomowych. Konkurencja: 200 projektów z całego świata.

Nad MIKO+ pracowały ponad rok. - Złotnik czasem łapał się za głowę i mówił: „Dziewczyny, tak się nie da” - wspominają etap poszukiwań najlepszych rozwiązań. Teraz dzięki wygranej w Dubaju mają pieniądze na kolejne badania. - Przed nami około pół roku pracy, chcemy jeszcze udoskonalić MIKO+. I wprowadzić kolekcję do sprzedaży - mówią.

- Mam problemy z nadgarstkami. Zaczęłyśmy o tym rozmawiać z innymi i odkryłyśmy, że wiele osób skarży się na dolegliwości spowodowane pracą manualną - opowiada Ewa Dulcet.

Najczęstszy powód to praca przy komputerze, ale projektantki rozmawiały też z dentystami czy masażystami. Uczucie drętwie-

nia w palcach, pogorszenie sprawności manualnej, czasem promieniowanie bólu nawet do barku - to objawy tzw. zespołu kanału nadgarstka (potocznie: cieśni nadgarstka). W trakcie konsultacji z lekarzami usłyszały, że ludzie często bagatelizują ten problem, dopóki ból jest znośny. Wiele osób powiedziało im, że wstydzą się nosić ortezę, bo wskazuje na niesprawność ciała.

A gdyby zrobić biżuterię z dodatkową funkcją? Znalazły problem badawczy.

To, że bransoletka z zaokrągloną płytką działa i może zapobiegać schorzeniom, wie-

wiązania przez formę biżuterii i ruchy, które prowokuje - opowiada Martyna Świerczyńska.

To zaś wymagało ostrożności. - Jeśli ucisk struktur mięśniowych będzie zbyt mocny albo w niewłaściwym miejscu, zamiast pomóc, może zrobić krzywdę - tłumaczy Ewa. - Nie zastępujemy leczenia, postępowania fizjoterapeutycznego czy ortozy. Biżuteria to dodatkowe wsparcie - dodaje Martyna.

Biżuteria jest wykonana z mosiądzu złoczonego na różowo i corianu (to kompozyt mineralno-akrylowy, który wygląda jak kamień). - Ludzie chcą wiedzieć, czy używamy kamieni, które mają jakieś działanie. Albo dla jakich znaków zodiaku są przeznaczone - opowiada Ewa. Ich kryterium było inne. Pierścionelek czy bransoletka działają, bo to wynika z ich formy, nie materiału. A materiał ma być po prostu lekki i ciepły.

Żeby to osiągnąć, musiały znaleźć dobrego złotnika. - Przetrasnęliśmy cały Poznań - opowiada Ewa. - W końcu trafiłyśmy na pana Jurka. Miałymy dużo szczęścia, to świetny fachowiec. A na dodatek ma zakład w tej samej kamienicy, w której mieszkamy.

Ewa i Martyna poznały się cztery lata temu na korytarzu School of Form, w której teraz obroniły dyplom. Przyjaźnią się i razem pracują. - Nie jesteśmy z tych duetów, które działają bez tarć. Potrafiłyśmy się nie zgadzać - mówi Martyna. - Ale zawsze łądujemy na cztery łapy i wychodzi z tego coś super.

Dlatego druga część nagrody pójdzie na wspólne biuro. ●

Ludzie bagatelizują problemy z nadgarstkami, dopóki ból jest znośny

dzą z elektromiografii powierzchniowej, badania przeprowadzonego w Szpitalu Ortopedyczno-Rehabilitacyjnym w Poznaniu. To z kolei było możliwe dzięki współpracy z fizjoterapeutką dr Martą Jokiel. Od razu zrozumiała projekt. I zaczęła wprowadzać Ewę i Martynę w obszar fizjoterapii ręki.

- Przez kilka miesięcy nie miałyśmy nawet dla Marty żadnych prototypów, tylko przychodziliśmy rozmawiać. Staraliśmy się wyłuskać problemy, które są możliwe do roz-



kuracja łagodząca trądzik różowaty

polecana na problemy skórne związane z jednoczesnym występowaniem zmian takich jak: rumień, teleangiektazje, zmiany grudkowo-krostkowe oraz nadwrażliwość na czynniki zewnętrzne. Kuracja łagodząca to specjalistyczne preparaty działające optymalnie na objawy trądziku różowatego. Oparte na przemyślanym zestawie substancji dermatologicznie czynnych oraz łagodnych składnikach bazowych, zarówno w produktach pielęgnacyjnych jak i oczyszczających. Przywracają równowagę hydro-lipidową naskórka, wzmacniają funkcje barierowe skóry, łagodzą najbardziej uciążliwe objawy – zaczerwienienie, pieczenie i podrażnienie.

nowość

skoncentrowany krem ultrakojący

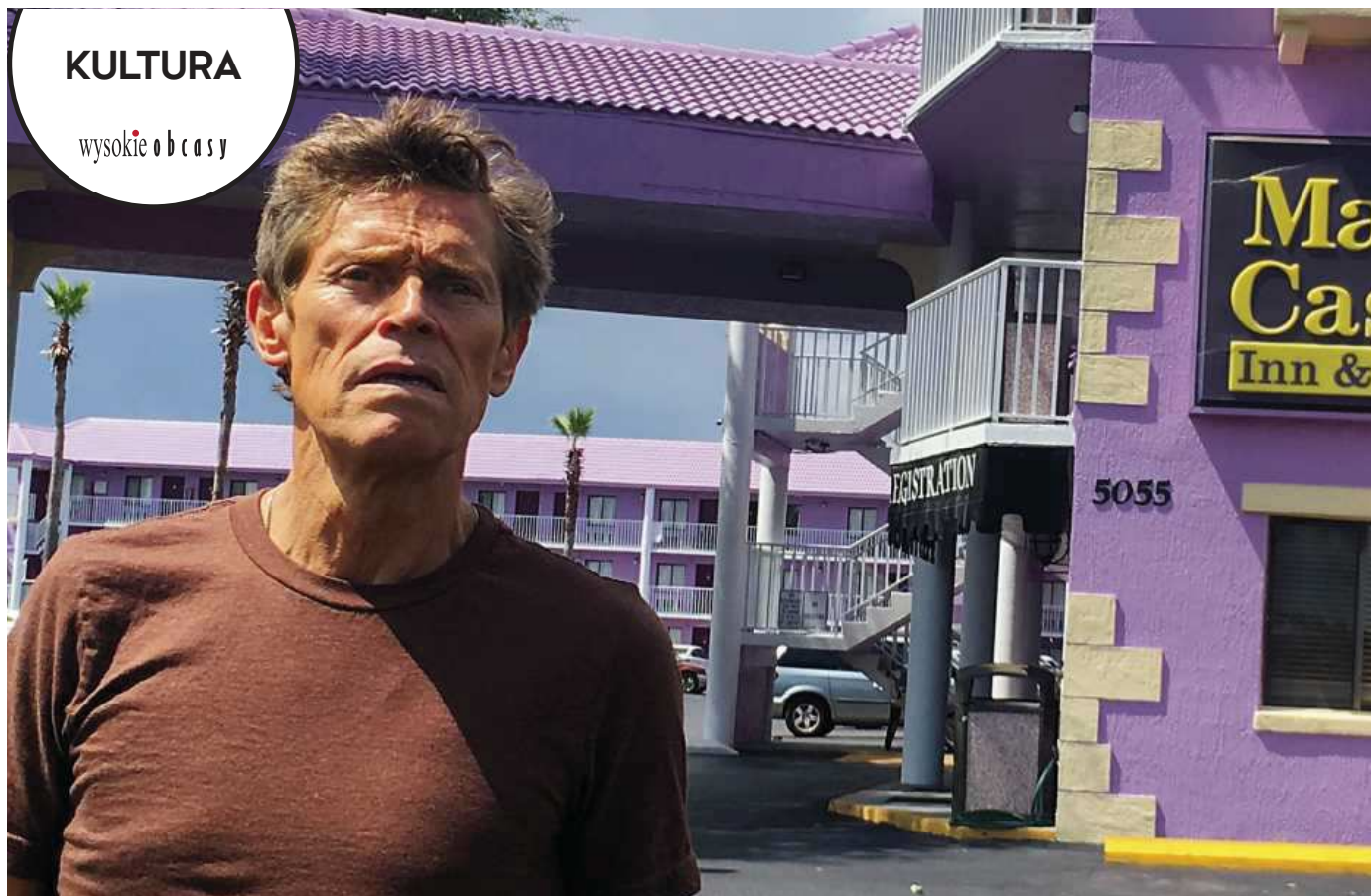
- Zmniejsza intensywność zaczerwienienia skóry.
- Łagodzi zmiany grudkowo-krostkowe.
- Wzmacnia i poprawia barierowość naskórka.
- Chroni przed utratą wilgoci.
- Redukuje nadwrażliwość skóry.

nowość

kremowy żel micelarny do mycia twarzy kojąco-oczyszczający

- Regularnie stosowany zmniejsza wrażliwość skóry.
- Delikatnie oczyszcza i usuwa nadmiar sebum.
- Przynosi ulgę zaczerwienionej skórze.
- Skutecznie chroni przed przesuszeniem.





50 DOLARÓW ZA NOC

Dopiero przy okazji kręcenia „The Florida Project” dowiedziałem się, że niektórzy moi dalsi kuzyni mieszkają w podobnych motelach

Z **Willemem Dafoe** rozmawia **Magdalena Maksimiuk**

Przyzwycał nas pan do siebie w rolach czarnych charakterów. Tymczasem Bobby w „The Florida Project” jest ludzki.

Mam szczerą nadzieję, że każdej granej postaci dają od siebie coś ludzkiego. Bobby jest szefem motelu Magic Castle na obrzeżach Disneylandu. To człowiek dominujący, choć na pierwszy rzut oka wydaje się nieudolny. Jest zrzęda, ale z empatią odnosi się do mieszkańców motelu, a szczególnie sześciolatniej Moonee i jej zbuntowanej matki Halley, bo w głębi duszy wie, że wcale tak bardzo się od nich nie różni. Mieszka w takim samym rozpadającym się motelowym pokoju, też pewnie rozważa ucieczkę w siną dal. Ale jednocześnie chciałby, żeby ta mała społeczność, która jakimś cudem się wokół motelu utworzyła, jakoś sobie wspólnymi siłami radziła. Nie chodzi nawet o szczególnie altruizm, raczej o kwestie praktyczne. W „The Florida Project” mówimy o sprawach ważnych, może najważniejszych, ale w żadnym momencie nikt nam na siłę nie wbija do głowy frazesów, nikt nie stosuje szantażu emocjonalnego.

Czy na kimś wzorował pan postać Bobby'ego?

Poznałem byłego menedżera motelu, w którym kręciliśmy. Facet już co prawda odszedł na emeryturę, ale chętnie opowiadał różne historie. Bobby ma wiele jego cech. Dodaliśmy też wiele scen, których nie było w scenariuszu, a które po rozmowach z tym człowiekiem wydały mi się niezbędne. Na przykład rozmowy Bobby'ego z synem. Krótkie, niezwykle intensywne, mówiące więcej o przeszłości bohaterów, niż gdybyśmy powiedzieli coś wprost albo z offu. Początkowo Bobby wcale nie miał być takim współczującym, pomocnym typem.

Znał pan ten świat tanich moteli i ich mieszkańców wcześniej?

Nie. Chociaż mam liczną rodzinę i dopiero przy okazji kręcenia filmu dowiedziałem się, że niektórzy dalsi kuzyni mieszkają w podobnych motelach, wcale nie tak znowu daleko od miejsca, gdzie kręciliśmy. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że w takich miejscach jak to pokazane w filmie żyją zwykłe osoby na skraju ubóstwa. Albo zdają sobie z tego sprawę, lecz nie widzą w tym problemu.

Mieszkają tam najczęściej ludzie bez pracy lub z dorywczym zajęciem, często samotne matki z dziećmi. Nie są w stanie wynająć mieszkania, bo w Ameryce trzeba wciąż udowodniać stałe dochody, posiadanie ubezpieczenia itp. Zmuszeni są więc wynajmować pokoje za 40-50 dol. dziennie - a więc wcale nie najtaniej - by nie wyładować na bruku. „The Florida Project” jest o tej właśnie codziennej walce, o próbach zachowania resztek godności w świecie, którym rządzi pieniądź.

Kiedy zdecydowałem się zagrać Bobby'ego, reżyser Sean Baker miał dla mnie wiele ciekawych opowieści. Niektóre były naprawdę szokujące, inne otworzyły mi oczy na konkretny, realny problem. Te rozmowy i moje własne poszukiwania stworzyły tę postać, dały jej korzenie i tożsamość.

Czasem zdarza się panu występować obok amatorów. Tutaj był pan właściwie jedynym profesjonalistą, a wokół – fenomenalni naturszczycy.

Wiedziałem, że będę pracować z ludźmi pochodzącymi z miejsc, o których opowiadamy, z okolicznymi dziećmi i młodzieżą, z niedoświadczonymi aktorami. Akurat



w przypadku tego projektu było to szalenie ważne. Realizacja filmu z naturščzykami wiąże się z określonymi kłopotami. Zwykle nie orientują się, gdzie jest kamera, nie potrafią powtarzać ujęć, rzeźbić poszczególnych scen. Nie są tak świadomi siebie jak aktorzy. Ale czasami właśnie to jest piękne.

Chociaż, kim do diabła jest profesjonalny aktor?! Niech pani spojrzy, jak zagrała mała Brooklynn w roli Moonee! Łatwo stwierdzić, że to maleństwo ma niezwykle rozwiniętą świadomość siebie i łatwość występowania. **Mogę sobie tylko wyobrazić, jak zareagowali mieszkańcy motelu na obecność gwiazdy takiej jak pan.**

Może na początku rzeczywiście tak było. Ale - jak ze wszystkim - takie rzeczy szybko się nudzą i trzeba żyć normalnie dalej. Oczywiście, jeśli komuś zależy na utrzymaniu pozycji gwiazdy i reaguje tylko wtedy, gdy jego imię wymawia się w blasku fleszy, to proszę bardzo. Ja wolę znikać w cieniu swojej postaci.

Wiele razy łapałem się na tym, że wchodząc do pokoju, w którym mieszkały Halley i Moonee, momentalnie zapomniałem, że wszyscy gramy, że one mają naprawdę inaczej na imię. Takie drobne rzeczy pomagają, tak samo jak spotkanie z tym byłym menedżerem motelu albo jak rozmowy z dalekimi kuzynami.

Sean Baker, reżyser filmu, wywodzi się z kina niezależnego. Jeszcze kilka lat temu wzbudził dużo emocji, pokazując światu „Mandarynkę” nakręconą w całości telefonem komórkowym.

Nie widziałem wcześniej wszystkich jego filmów, ale „Mandarynkę” - owszem. Impionująca. Bardzo podoba mi się, że Sean dba

W DRODZE PO OSCARA I ZŁOTY GLOB

Pochodzący z Wisconsin 62-letni Willem Dafoe wystąpił w ponad stu filmach, takich jak „Pluton”, „Urodzony 4 lipca”, „Angielski pacjent”, „Dzikość serca” czy „Ostatnie kuszenie Chrystusa”. Niewiele jest dziś aktorów, którzy byłiby w stanie z jednakowym wdziękiem udźwignąć rolę Maxa Schrecka w „Cieniu wampira”, włoskiego geniusza Piera Paola Pasoliniego czy nawet Szczura u Wesa Andersona w „Fantastycznym panu Lisie”. W „The Florida Project” gra zrzędliviego menedżera motelu dla ubogich mieszkańców na przedmieściach Orlando, który boi się pokazać, że mu na kimś zależy oraz że w gruncie rzeczy jest pełnym ciepła, opiekuńczym człowiekiem. Film Seana Bakera to czułe wspomnienie beztróskiego dzieciństwa, a jednocześnie ostra krytyka amerykańskiego systemu pomocy społecznej, który zaczyna działać dopiero wtedy, gdy jest już za późno. O Dafoe i partnerującej mu fenomenalnej sześcioletce Brooklynn Prince mówi się jako o oscarowych pewniakach. Film podbił serca publiczności festiwali w Cannes, Toronto i Nowym Jorku. Dafoe został też nominowany do Złotego Globu.

o każdy szczegół produkcji, od reżyserii i scenariusza aż po charakterystyczny montaż, który też robi sam. To szczególnie ważne, jeśli wziąć pod uwagę to, że pracowaliśmy z naprawdę niewielkim budżetem, z naturščzykami, w szczególności z dziećmi, a w dodatku na materiale, który jest inspirowany prawdziwymi miejscami, wydarzeniami i ludźmi.

A więc gdzie jest granica między prawdą a fikcją w „The Florida Project”?

Jest cienka. Wszyscy aktorzy, a ja razem z nimi, chodzili spać do przyjemnego hotelu nieopodal planu zdjęciowego. Było to niezbędne, aby trochę się zdystansować, odpocząć. Ale żeby było jasne, na samym planie nikt nie miał osobnych przyczep, wszyscy przebywaliśmy więc w takich samych pokojach motelowych jak Halley i Moonee oraz pozostali mieszkańcy tego miejsca. Mój sąsiad z pokoju obok żył tam od pięciu lat. Jestem prawie pewien, że na końcu korytarza handlowano narkotykami. Proza życia! A z drugiej strony całkiem niedaleko - ogromny Disneyworld, kraina wykreowanego, zamkniętego w kolorowym pudełku szczęścia. Zestawiamy ten gigantyczny park rozrywki ze zrujnowanym motelem dla biedoty. Wyraźnie mówimy o niedostatkach amerykańskiego systemu socjalnego, o tym, że zapomnieliśmy o obowiązkach wobec siebie nawzajem.

Patrzę na nasz kraj i się zastanawiam, dlaczego wciąż wydaje się więcej pieniędzy na policję i więzienia, a coraz mniej na edukację i mieszkania socjalne. Dlaczego, choć wszyscy głośno mówią, że podstawową zasadą jest to, że nie powinno się pozwalać biznesmenom rządzić krajami, oni jednak nimi rządzą. ●



SĄSIEDZI



Kadry z dokumentu
„Ulica Zasiłków”,
nakręconego w Winson
Green, najbardziej niebezpiecznej
dzielnicy Birmingham, gdzie
toczy się nasza opowieść

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA



To nie pierwsza zła dzielnica, w której mieszka Anji z rodziną. Od 25 lat realizują swój pomysł na życie – wprowadzają się do natrudniejszych miejsc świata



TEKST
URSZULA
JABŁOŃSKA



(11)



**Dzięki
alpakom
Barkerowie
poznali
sąsiadów,
najpierw
dzieci,
a potem
ich rodziców**

Dwie alpaki, kozy w majteczkach i owca w pieluszcze (żeby nie brudziły na ulicy) oraz czwórka dzieci (nie bardzo chcą chodzić do szkoły, ale alpaki chętnie odprowadzą, więc może przy okazji da się je zachęcić do wejścia do klasy?) - w takim składzie maszerujemy przez dzielnicę Winson Green. Po obu stronach ulicy ciągną się identyczne domy z czerwonej cegły, a przed nimi piętrzą się worki śmieci i sterty starych mebli. W oknach migają buzie zaciekawionych dzieci. Ludzie zatrzymują samochody i przystają, żeby zrobić zwierzętom zdjęcie. No może z wyjątkiem chłopców w czarnych kabrioletach, którzy słuchają głośno hip-hopu, oraz takich, którzy jeżdżą na quadach (później dowiem się, że to lokalni dilerzy - quady umożliwiają ucieczkę przed policją wąskimi przesmykami). Anji Barker, uśmiechnięta Australijka, która prowadzi pochodowi, macha do wszystkich przechodniów, zagaduje, przypomina, że co wtorek organizuje u siebie w domu kolację dla sąsiadów. Każdy jest mile widziany.

- Ale przecież to za więzieniem! - zdziwił się taksówkarz, kiedy poprosiłam, żeby zawiózł mnie do Winson Green. To najbiedniejsza dzielnica Birmingham. Wynajem mieszkania jest tu tani, więc jest pierwszym przystankiem w Anglii dla imigrantów z całego świata: Somali, Pakistanu, Słowacji, Rumunii. 90 procent mieszkańców nie pracuje, tylko pobiera zasiłki. To dlatego w 2014 roku na jednej z tutejszych ulic nakręcono serial dokumentalny „Ulica Zasiłków” portretujący życie najbiedniejszych. Produkcja natychmiast wzbudziła kontrowersje, bo pokazywała między innymi domową plantację marihuany i dostarczała instrukcji, jak kraść drogie ubrania ze sklepów.

Ale Winson Green to nie pierwsza zła dzielnica, w której mieszka Anji Barker z rodziną. Od 25 lat konsekwentnie realizują swój pomysł na życie - wprowadzają się do najtrudniejszych miejsc świata.

8.00. Alpaki

Zwierzęta codziennie rano muszą przejść z podwórka Anji, gdzie mają zagrody, na pole, na którym się pasą, niedaleko tutejszej szkoły. Nie mogą zostawać na wybiegu na noc, bo kilka owiec już tu zginęło. Niektórzy mieszkańcy wciąż widzą w nich raczej jedzenie niż przyjaciół.

Anji z mężem Ashem i synem Aidenem przyjechali do Winson Green trzy lata temu.

- Pomyślałam, że muszę jakoś poznać sąsiadów, a nie mam pieniędzy ani miejsca, do którego mogłabym ich zaprosić - opowiada Anji. - I wtedy wpadłam na pomysł, żeby kupić przyczepę, kilka alpaki i organizować „Spotkania ze zwierzętami” dla dzieci z okolicy. Z czasem do mojej

gromadki dołączyły kozy i owce. Mamy też gekony, świnki morskie, szynszyle. Wiele dzieci przyjechało do Winson Green z terenów objętych wojną, kontakt ze zwierzętami pomaga im odreagować traumę, a mnie poznać je i ich rodziców.

Przed świętami zwierzęta mają napięty grafik. Anji wiąże im kokardki na szyjach i wynajmuje je na świąteczne jarmarki. W tym roku mają już dziewięć zleceń, zarobią na karmę na zimę, zwłaszcza że niedługo jedna z alpaki będzie miała małe.

Kiedy o 16 odprowadzamy zwierzęta do zagród, towarzyszy nam już dwa razy większa grupka dzieciaków.

Przystanek 1. Melbourne

Kiedy pytam Anji, skąd wzięła pomysł na życie, odpowiada: „Nauczyłam się tego w domu”. Wychowała się w słonecznym Melbourne w rodzinie imigrantów z Holandii. Ponieważ nie mieli tu żadnej rodziny, rodzice prowadzili otwarty dom, wciąż przesiadywali u nich sąsiedzi i ludzie z kościoła. Jeżeli ktoś w szkole Anji miał kłopoty, zapraszali go, żeby pomieszkał z nimi. Wydawało jej się, że wszyscy tak żyją.

Asha poznała, kiedy miała 18 lat. Dwa lata później byli już małżeństwem. Anji studiowała na uniwersytecie, planowała karierę nauczycielki, Ash uczył się w college'u teologicznym, chciał zostać pastorem. Jednocześnie pracował dla chrześcijańskiej organizacji młodzieżowej, która pomagała dzieciom z poprawczaków.

- Tam odkryliśmy, że trudna młodzież zwykle nie pochodzi z naszej pięknej, bogatej dzielnicy - opowiada Anji.

Ich życie całkowicie się zmieniło, kiedy pewien mężczyzna, który miał w domu 18 dzieci, przyprowadził do nich wnuka i poprosił, żeby go wychowywali. Chłopiec miał kilkanaście lat, w ogóle nie chodził do szkoły, zaczynał ćpać, całymi dniami włóczył się za swoimi wujkami, którzy robili podejrzaną interesy. Dziadek nie chciał, żeby skończył tak samo. Anji i Ash przygarnęli chłopca i próbowali umieścić go w szkole, trzymać z dala od ulicy.

- Znasz taki film „Titanic”? - pyta zniecierpliwiona Anji. I zanim zdąży odpowiedzieć, mówi: - Tam jest taka scena, kiedy Rose, która mieszka na górnym pokładzie, prosi Jacka, żeby zabrał ją na dolny pokład. Tam widzi, jak żyje większa część ludzi na statku. Wraca na górny pokład, ale już nigdy nie będzie widzieć świata tak samo. Więc ten chłopiec był naszym Jackiem. Byliśmy wyedukowani, z chrześcijańskich rodzin, które zawsze się wspierały, trzymały razem. Myśleliśmy, że wszyscy mają takie życie. Dzięki niemu odkryliśmy, że świat wcale tak nie wygląda.

Dzięki niemu wymyślili też, że ludzie uprzywilejowani powinni po prostu przeprowadzać się w biedniejsze rejony miast i próbować wpłynąć na otoczenie. Przecież Jezus zawsze brał stronę biednych, więc wydawało się, że to dobry trop. Zainspirowała ich także para Nowozelandczyków Mick i Ruby

**Zrobiłam kurs pierwszej pomocy
i kiedy kończyła się bójka, wychodziłam
na uliczkę, bandażowałam rany
albo sklejałam je superglue**

Duncanowie, którzy mieszkali wtedy w slumsie w Manili na Filipinach. W 1992 roku Barkerowie wyprowadzili się ze swojego pięknego domu i wprowadzili do Springvale, biednej dzielnicy na przedmieściach Melbourne, gdzie ponad połowa mieszkańców to obcokrajowcy.

- Nie mieliśmy żadnego konkretnego planu - tłumaczy Anji. - Staraliśmy się po prostu być dobrymi sąsiadami, prowadzić otwarty i przyjazny dom. Zaczęliśmy przyjmować do siebie rodziny, które miały problemy finansowe lub osobiste, do czasu aż udało nam się je rozwiązać, albo dzieci, które inaczej zabralaby opieka społeczna. Nikt nie chciał dzieci narkomanów, więc nikogo też nie obchodziło, że je przygarnialiśmy. Ale potem pracownicy socjalni zaczęli się sami do nas zgłaszać. Mówili: „Nie mam pojęcia, co zrobić z tą nastolatką, może się nią zajmiesz przez jakiś czas?”. W tym czasie w Australii nie było wystarczająco dużo rodzin zastępczych. A poza tym lepiej, żeby dzieci zostały z kimś, kogo znają, niż wpadały w bezduszny system.

Rok później stworzyli organizację Urban Neighbours of Hope, która miała pomóc innym rodzinom podążać obroną przez nich drogą.

Nie wszystko układało się gładko. Ich przybrany syn zaczął mieć coraz większe problemy psychiczne, nieustannie krążył między więzieniem a szpitalem psychiatrycznym. Kiedy został ojcem w wieku 14 lat, przygarnęli do domu także jego dziecko. A gdy niedługo potem zmarł w szpitalu, zamieszkała z nimi jego dziewczyna.

10.00. Romowie

O 8.30 Anji zasiada w swoim biurze na tyłach szkoły w Winson Green. Pracuje dla organizacji Oasis, która przejmuje upadające szkoły w biednych dzielnicach i stara się poprawić panujące w nich warunki. Jej biuro nazywa się Hub. Ma oddzielne wejście, każdy rodzic może przysiąc tutaj z dowolnym problemem.

O 10 wchodzą Daniel i Barbora, para słowackich Romów. On ma zęza i postawione na żel włosy, ona - kozaki na obcasie i różowy sweter z napisem „Armani”. Przede wszystkim jednak mają problem - byli umówieni w urzędzie pracy, ale zaspali. Anji bez słowa dzwoni do urzędu i usprawiedliwia ich, że nie mogli przyjść, bo mieli spotkanie w szkole. Prosi o wyznaczenie kolejnego terminu.

- Wciąż słyszę od nauczycieli, że powinnam ze swoimi podopiecznymi porozmawiać, żeby przestali się wszędzie spóźniać - wyznaje mi na boku. - Ale nie można ich ciągle krytykować. Trzeba się cieszyć ze zwycięstw. Zobacz, przyszli, bo chcą zapisać dzieci do szkoły.

Daniel i Barbora mają czworo dzieci, więc formularzy jest mnóstwo. Anji pomaga je wypełnić i jej samochodem ruszamy na wyprawę do okolicznych szkół, żeby umieścić dzieci w kolejce. Szkoły w Winson Green są przepełnione, dzieci będą musiały poczekać, aż się zwolni dla nich miejsce.

Daniela i Barborę z dziećmi policja przywiozła do Winson Green dwa tygodnie temu. Wcześniej mieszkali w Dorchester, ale doszło tam do wojny między dwoma klanami Romów, ich mieszkanie zostało całkowicie zniszczone. Trafili więc do Birmingham, bo Barbora ma tutaj rodzinę. Wynajęli dom, dwa pokoje z kuchnią i łazienką, ale nie działa w nim bojler, trzeba grzać wodę. Wynajmujący w ogóle nie przejmuje się stanem mieszkań.

- To są sprawy, których nie rozumiesz, dopóki tu nie zamieszkasz - wyjaśnia Anji w drodze powrotnej do biura. - Wolontariusze w Winson Green starają się pomagać biednym. Najbardziej chcą sprzątać zaśmiecone ulice, bo to rzuca się w oczy. Ale nie wiedzą, dlaczego ulice tak wyglądają - ludzie wprowadzają się do zagraconych mieszkań, nie mają pieniędzy, żeby wynająć samochód i wywieźć rzeczy. A nawet jeżeli mają, myślą raczej o tym, żeby kupić dzieciom wyprawki do szkoły. Dopiero kiedy podstawowe potrzeby są zaspokojone, ludzie interesują takie sprawy jak czyste chodniki. My sami przez pół roku mieszkaliśmy w małym mieszkaniu bez ogrzewania. Zgłosiliśmy to we wszystkich urzędach. Nic nie pomogło. Nikogo nie interesuje, co się dzieje w tej dzielnicy.

Przystanek 2. Bangkok

Anji i Ash, jeszcze mieszkając w Australii, wiedzieli, że chcą przeprowadzić się na jakiś czas za granicę. Myśleli o Wietnamie, ale nie dostali wiz, więc pojechali na trzy miesiące do Tajlandii. Zatrzymali się w slumsie Klong Toey w Bangkoku. W samym centrum miasta, niedaleko portu, rozpościera się morze ścian z dykty i dachów z przerdzewiałej blachy. 80 tysięcy osób tłoczy się na dwóch kilometrach kwadratowych. Barkerowie szybko poczuli, że mogliby tam robić to samo co w Melbourne. Spakowali najpotrzebniejsze rzeczy i wraz z pięcioletnią wówczas córką Amy wprowadzili się do dwupiętrowego domu z dykty nad czarnym, śmierdzącym kanałem. Ich syn Aiden urodził się już w Tajlandii. Nie znali ani słowa po tajsku i kompletnie nie orientowali się w lokalnych zależnościach, więc początki były trudne.

- Byliśmy bezradni - wspomina Anji. - Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie zrobić zakupy. Ale wyszło nam to na dobre, bo sąsiedzi szybko zaczęli nam pomagać. Dzięki temu nie byliśmy traktowani jak biali, którzy przyjechali, żeby pomagać, tylko jak przyjaciele, którzy sami potrzebują wsparcia.

Szybko zaprzyjaźnili się z sąsiadką, 38-letnią Poo. To była bardzo korzystna znajomość. Pewnego dnia mężczyźni, którzy właśnie wyszli z więzienia, zaczęli kręcić się wokół ich domu i rzucać nie mile komentarze. Zaniepokojona Anji zadzwoniła do Poo i za chwilę zjawila się mama jej męża, jak się okazało, wysoko postawiona lokalna gangsterka. Pobila po kolei nowo przybyłych, a potem kazała mężczyznom nosić ich walizki i zamiatać wokół domu. Patrzyli na to w osłupieniu. Anji nie ukrywa, że było niebezpiecznie. Co tydzień w okolicy były walki na noże, jeden mężczyzna umarł, gdy został dźgnięty w brzuch na schodach dwa domy od nich. Innym razem podczas strzelaniny pociski przeszły przez dach ich domu.

- Zrobiłam kurs pierwszej pomocy i kiedy kończyła się bójka, wychodziłam na uliczkę, bandażowałam rany albo sklejałam je superglue, żeby zatrzymać krwotoki, ładowałam rannego na skuter i wiozłam do szpitala - opowiada Anji. - Potem często sami płaciliśmy za opiekę medyczną, bo zwykle poszkodowani nie mieli ubezpieczenia.

Ale to wcale nie przemoc jest tym, co najlepiej pamiętają ze slumsów. Szybko zaprzyjaźnili się z sąsiadami. Zaczęli angażować się w życie społeczności: uczyli chętnych angielskiego, pomogli wyremontować lokalną szkołę, zorganizowali opiekę dentystyczną dla dzieci, mecze piłki nożnej. Przygarnęli do domu dwóch tajskich chłopców.

Poo, sąsiadka Anji, zarabiała na życie, sprzedając za parę groszy potrawy, które gotowała na palniku przed domem. W 2008 roku, kiedy ceny ryżu gwałtownie skoczyły, nie była już w stanie się z tego utrzymać. Anji zaproponowała jej, żeby otworzyła w slumsie szkołę gotowania dla turystów, w której uczyłaby prostych tajskich potraw. Krok po kroku pomogła sąsiadce wszystko zorganizować - na początku zajęcia odbywały się w jej kuchni, a Poo komunikowała się ze studentami za pomocą kilku słów na krzyż. Dziś „Gotuj z Poo” to jedna z najwyższej ocenianych atrakcji na TripAdvisorze. Powstała też książka kucharska o tym tytule.

- Pomogłam nam nazwa [„poo” to po angielsku kupa, a po tajsku skrót od słowa „jabłko różane”] - śmieje się Anji. - Wygrała konkurs na najdziwniejszy tytuł roku, więc ludzie zaczęli się nią interesować.

Szkoła kucharska Poo to największy sukces Barkerów (Poo zaprosił do swojego programu sam Jamie Oliver), ale w Klong Toey rozkręcili mnóstwo lokalnych inicjatyw. Anji pomogła lokalnym kobietom założyć sklep, w którym sprzedawały ręcznie robioną biżuterię, czy biznes owocowo-warzywny - mies-

kańcy slumsów kupowali je tanio na lokalnym bazarze i dostarczali mieszkańcom bogatszych dzielnic za niewielką opłatą. Starła się przekonać sąsiadów, żeby część zarobionych pieniędzy inwestowali w pomoc innym.

- Zawsze zaczynam od przyjaźni - wyjaśnia Anji. - Poznaję ludzi i zastanawiam się, jakie mogą mieć marzenia. Oni sami tego nie wiedzą, dorastali w biedzie, bez perspektyw, muszę to wymyślić za nich. A potem pomóc im je zrealizować.

Barkerowie przez 12 lat żyli tak samo jak sąsiedzi ze slumsów. Ugięli się tylko w kwestii szkół dla dzieci. Zależało im na tym, żeby nie musiały płacić ceny za ich wybory, więc chodziły do dobrej szkoły poza slumsem. Wątpliwości pojawiły się, kiedy Aiden miał siedem lat. Z przyrodniymi braćmi często bawił się w slumswych uliczkach. Zaczęła się bójka, więc chłopcy szybko wbiegli do domu. Mama Asha, która akurat przyjechała w odwiedziny, spytała, co się stało. Aiden powiedział: „Oj, babciu, chyba ktoś kogoś znowu dźgnął nożem”. Anji pomyślała: przecież ona nie musi o tym wiedzieć. Ale jej druga myśl była taka, że właściwie to chyba nie powinno też być normalne dla jej siedmioletniego syna.

13.00. Smaki Winson Green

Kiedy wracamy z objazdu po szkołach, cały Hub pachnie już kolendrą i kuminem. Dziś środa, dzień wspólnego lunchu. Rano do sklepów dostarczane są produkty, których z różnych powodów markety nie mogą już sprzedawać, a mamy dzieciaków ze szkoły schodzą się, żeby wspólnie przygotować jedzenie. Zwykle nudzą się w domach, kiedy dzieci są w szkole, więc w Hubie codziennie są jakieś zajęcia - joga, zumba, plastyka. Dziś w kuchni uwijają się czarnowłosa May z mężem, para Pakistańczyków, którzy kiedyś prowadzili restaurację. May szykuje ryż z kuminem, a jej mąż profesjonalnym pędzlem pokrywa kurczaka marynatą. May ukradkiem ociera łzy. Osiem lat temu przyjechała tu z Pakistanu na studia i postanowiła ubiegać się o azyl. Jednak ciągle jeszcze nie dostała statusu uchodźcy. A ostatnio przyszło do niej pismo, że mają się wyprowadzić z domu w Winson Green, w którym ich umieszczono. Kazano spakować walizki i w czwartek czekać, aż kierowcy po nich przyjadą. Anji kilka razy dziennie dzwoni do urzędu ds. uchodźców, ale nie chcą zdradzić, dokąd ich zabiorą. May bardzo się martwi, dwójka ich dzieci chodzi tutaj do szkoły, przyzwyczaili się. Przyszli coś ugotować, żeby trochę odgonić czarne myśli. Po chwili na wspólnym stole łąduje ryż z kuminem, kurczak z pieca, jagnięcina i pieczone warzywa. Do Hubu schodzą się ludzie z okolicznych domów, ale też nauczyciele skuszeni zapachami.

- Nie chcę, żeby to był lunch tylko dla biednych - tłumaczy Anji. - To ważne, aby ci ludzie czuli, że mogą dać coś od siebie.

Właśnie pracuje nad rozkręceniem „Smaków Winson Green”, inicjatywy podobnej do szkoły „Gotuj z Poo”. Na ten pomysł wpadła chwilę po zamachu terrorystycznym w Paryżu. Postanowiła wtedy przez dziesięć dni nosić hidżab, żeby zobaczyć, z jakimi problemami muszą się zmagać muzułmanki z okolicy. To było przerażające doświadczenie. Ludzie

Zawsze zaczynam od przyjaźni.

Poznaję ludzi i zastanawiam się, jakie mogą mieć marzenia. Nie wiedzą, dorastali w biedzie, bez perspektyw, muszę to wymyślić za nich. I pomóc zrealizować

na ulicy grozili jej śmiercią, opluwali ją w autobusie. Zrozumiała, dlaczego muzułmanie się nie integrują. Zaczęła się zastanawiać, gdzie chrześcijanie, którzy często są bardzo antyislamsko nastawieni, mogą spotykać muzułmanów na neutralnym gruncie. W szkole gotowania! Wymyśliła, że kobiety z Winson Green będą uczyć gotowania Anglików i w ten sposób zarabiać na życie.

- Zamiast patrzeć na tę okolicę jak na problem, spójrzmy na nią jak na kapitał - zachęca Anji. - Większość miast w Anglii poza Londynem jest dwukulturowa, na przykład w Bradford mieszkają głównie Anglicy i Pakistańczycy. A w Winson Green są wszyscy, mieszkają tu ludzie z niemalże wszystkich krajów Europy, Azji i Afryki. Jak to sprzedać? Jedzenie z różnych krajów to coś, co przyciąga ludzi.

Pierwsze lekcje były wielkim sukcesem. Teraz Anji stara się, żeby „Smaki Winson Green” i „Spotkania ze zwierzętami” miały lokalnych liderów, żeby działały bez jej pomocy. „Smakom” przewodzi Amy, uchodźczyni z Somalii, która była jedną z pierwszych wolontariuszek w Hubie. Niedługo przestanie pobierać zasiłek i dostanie pierwszą pensję. Z dumą prezentuje plaketkę z napisem „liderka projektu”.

Przystanek 3. Birmingham

Dlaczego Barkerowie wyjechali z Bangkoku? Chyba głównie dlatego, że nie chcieli, aby ich syn spędził nastoletnie lata w slumsie. Miał dopiero 11 lat, a kobiety z sąsiedztwa już oferowały mu córki na sprzedaż. Poza tym Ash zaczął chorować. Ma słaby układ odpornościowy. Był w szpitalu chyba 30 razy: tyfus, denga, dur brzuszny. Chciał też bardziej poświęcić się karierze naukowej, napisał dwie książki o slumsach. Kiedy Barkerowie odchodzili z Urban Neighbours of Hope, organizacja miała już wielu wolontariuszy w biednych rejonach Australii, Nowej Zelandii i Tajlandii. Od jakiegoś czasu myśleli, by otworzyć filię w Birmingham. Gdy przyjechali tu trzy lata temu, zaskoczył ich poziom biedy.

- Przeprowadziliśmy się do Winson Green przekonani, że będziemy teraz zmagać się z problemami Pierwszego Świata: „Nie mam pieniędzy na nowe naki”, „Nie stać mnie na bilet na koncert” - śmieje się Anji. - Okazało się, że bieda tu niewiele się różni od tej w Azji Południowo-Wschodniej.

Do Winson Green przyjeżdżają rodziny z Europy Wschodniej, które poszukują tu lepszego życia, a kończy się tak, że gnieźdzą się w jednym domu w 20 osób, nie dostają zasiłków, więc kradną. Dużo jest słowackich i czeskich cyganów, Rumunów. Polacy radzą sobie dość dobrze - kiepsko mówią po angielsku, ale zwykle pracują razem w tej samej fabryce.

Jest sporo uchodźców z Afryki: z Nigerii, Ghany, Gambii, Senegalu. Przyjechali do Europy dziesięć lat temu, dostali azyl we Francji czy Włoszech. Od kiedy przegłosowano brexit, przyjeżdżają do Anglii, żeby dzieci nauczyły się języka, bo mówią tylko po włosku czy holendersku.

Problemy we wszystkich miejskich dzielnicach biedy są takie same: narkotyki, gangi, kradzieże i wyzysk - wszyscy wykorzystują wszystkich, liczy się tylko przetrwanie. Niedawno policja aresztowała parę Polaków, którzy wzięli rodaka na strychu i zabierali jego pensję. To jest najbardziej frustrujące - pomagasz kobietom założyć własny biznes, a one potem nie płacą pracownikom, bo są przyzwyczajone, że tak to działa. Trzeba je nauczyć, że warto pomagać.

Dużym problemem jest przemoc. W ciągu ostatniego roku w Winson Green było 12 bójek na noże i kilka strzelanin. Anji już sześć razy włamano się do samochodu, ukradziono GPS. Ale ostatnim razem sąsiad dowiedział się o tym od dzieci i przyniósł GPS z powro-



Więcej o szkole „Gotuj z Poo” i życiu w slumsach Bangkoku można przeczytać w książce Urszuli Jabłońskiej „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii”

tem. Powiedział, że ukradł go jakiś Rumun, który jej nie zna.

- Wtedy poczułam, że jestem częścią społeczności - mówi Anji.

Ostatnio czują się bezpieczniej. Ash, który pracuje jako kapelan w więzieniu, poznał byłego striptizera, który dość groźnie się prezentuje. Więc kiedy mają jakieś problemy, na przykład ktoś im grozi, Prince przyjeżdża na skuterze i interweniuje. Policja? Anji wzrusza ramionami: - Ostatnio okradziono sklep sąsiada. Zadzwoił na policję i usłyszał, że funkcjonariusz może się zjawić za tydzień. W tym rejonie na dwa tysiące osób przypada jeden policjant. To trochę taki Dziś Zachód.

Tym bardziej ważne jest to, co próbują tu zrobić - zmienić reputację dzielnicy i sprawić, by porządni ludzie też chcieli tu mieszkać. Teraz jest tak, że uczciwi ludzie z Pakistanu, Rumunii czy Polski wynajmują tu dom, bo jest tanio, ale kiedy tylko staną na nogi, wyprowadzają się gdzie indziej. Tak tworzy się getto. W Bangkoku udało im się choć trochę zmienić reputację slumsu. Dawniej kojarzył się tylko z gangami i narkotykami, teraz ludzie coraz więcej mówią o szkole „Gotuj z Poo”. Może niedługo w Winson Green też częściej niż o kradzieżach i bójkach będą wspominać o kuchni i alpakach?

18.00. Kolacja

Na stole w salonie Anji leżą kanapki i sałatki z popularnej sieci kawiarni (dogadała się z pracownikami, żeby oddawały jej to, co nie sprzedawało się w ciągu dnia). Na kanapie przy kominku zasiadają wszyscy domownicy - Ash, któ-

ry zaraz idzie na mecz, Aiden, który właśnie wrócił ze szkoły. Ale u Barkerów, od kiedy udało im się zmienić dom na większy, mieszka więcej osób. Jest John, starszy pan, który pomagał przy remoncie domu. Kiedy miał zawał, Barkerowie przywieźli go ze szpitala i tak jakoś został. Gwen była wolontariuszką w Hubie, czuła się samotna, kiedy dzieci wyprowadziły się z domu, a mąż zmarł. John piecze świetne ciasteczka i robi licznym gościom kawę i herbatę, Gwen zajmuje się zwierzętami.

Co chwila słychać dzwonek i pojawiają się kolejni sąsiedzi. Jest Kathy, Angielka, która przeszła na islam, bo wyszła za Pakistańczyka. Anji pomaga jej podjąć przerwana edukację i dostać się na uniwersytet. Jest Rachel, samotna matka z dwójką dzieci. Jakiś czas temu miała poważne problemy, opieka społeczna chciała zabrać jej dzieci. Anji zaproponowała urzędniczkom, żeby nie rozdzielały matki z dziećmi. Niech pomieszkają u niej przez jakiś czas. Rachel już wyszła na prostą, jest wolontariuszką w Hubie, prowadzi w każdy piątek klub dla dzieci z okolicy.

Bawię się z dziećmiakami na dywanie i nagle dociera do mnie, że w ciągu tych kilku wspólnie spędzonych dni nie usłyszałam ani jednego zdania o Bogu.

- Anji, ale czy wy nawracacie tych ludzi? - pytam w końcu.

Anji ze śmiechem potrząsa przecząco głową.

- Religia to sto procent mojej osobistej motywacji, ale moja praca nie polega na tym, żeby mówić innym, w co mają wierzyć. Byli chętni, którzy chcieli wprowadzić się tu z nami i nam pomagać, ale to się nie udało. Właśnie dlatego, że najpierw chcieli wszystkich nawrócić. Wciąż chcieli się modlić za dusze tych ludzi. Dla nas to było trochę żenujące. Zawsze powtarzam: „Ceną mojej przyjaźni nie może być czyjaś dusza”. Kocham swoich przyjaciół, również jeżeli są muzułmanami, buddystami albo ateistami. Po prostu staram się dawać dobry przykład. Moim zdaniem być dobrym chrześcijaninem to znaczy: pomagać sierotom, zaprosić bezdomnych do domu, nakarmić głodnych, ubrać nagich. I to właśnie staram się robić. ●

Zmieniłam imiona sąsiadek i sąsiadów Anji

REKLAMA

TESCO | Ciesz się tym, co dobre

Ciesz się słodką magią Świąt

Pyszna włoska babka Panettone sprawi, że Twoje święta nabiorą wyjątkowego smaku.

Babka Panettone, dostępne różne rodzaje i gramatury.
Oferta obowiązuje do 24.12.2017 r. lub do wyczerpania zapasów.



CZYM JEST MIŁOŚĆ

MAŁO
PRAWDOPODOBNA
ISKRA

**Miłość nie jest słodka.
Łączy skrajne poświęcenie
ze skrajnym egoizmem.
Zawiera w sobie potrzebę,
by poświęcić się dla ukochanej osoby,
a także by tę ukochaną osobę osiąść.
By dominować
i zostać zdominowanym**

(17)

Z **Amosem Ozem** rozmawia **Paulina Reiter**

CZYM JEST MIŁOŚĆ



„Opowieści o miłości i mroku” opisuje pan, jak ojciec tłumaczy panu znaczenie słów. Czy mógłby pan zrobić to samo dla mnie i wytłumaczyć mi, czym jest miłość?

Nie jestem pewien, czy potrafię to wytłumaczyć, ale mogę spróbować ją opisać. Zaczniemy od tego, że słowo „miłość” we wszystkich językach zostało niezwykle nadmuchane. Stało się niejasne i tak pojemne, że niemal straciło wyjściowe znaczenie.

W latach 60. byłem 30-latką, czyli trochę zbyt stary jak na hipisa, ale pamiętam bardzo wyraźnie, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie idea, że miłość jest odpowiedzią na wszystkie problemy świata. „All you need is love” – śpiewali Beatlesi. Hasła głosiły: „Make love, not war”. Zaczarowało mnie to. Nie chcemy komunizmu, nie chcemy kapitalizmu, nie chcemy syjonizmu – chcemy miłości! Każdy będzie kochał każdego i świat zostanie uratowany.

Niestety, przez lata stawałem się coraz bardziej sceptyczny, gdy chodzi o tę ideę. Doszedłem, poprzez osobiste doświadczenia, do dwóch prostych prawd. Po pierwsze, że miłość to rzadko spotykany minerał. Nie jest możliwe – ze względów fizycznych i emocjonalnych – by kochać całą ludzkość. Jeśli ktoś twierdzi, że kocha Amerykę Łacińską albo że kocha ludzi ubogich, albo że kocha kobiety – to znaczy, że nie kocha tak naprawdę nikogo. To zwykłe frazesy.

Po drugie, zdałem sobie sprawę, że miłość nie jest aż tak słodka, jak przedstawiano ją nam, gdy byliśmy młodzi – w literaturze sentymentalnej, w kinie. Miłość łączy skrajne poświęcenie ze skrajnym egoizmem. Zawiera w sobie jednocześnie potrzebę, by poświęcić się dla ukochanej osoby, a także by tę ukochaną osobę osiąść. By dominować i zostać zdominowanym. Więc miłość ma zapewne wiele twarzy, lecz słodka nie jest. Ten obraz pary trzymającej się za ręce, idącej w stronę zachodu słońca przez ukwiecone pole, najlepiej bosy...

Wszyscy tego pragniemy.

Bo było to naszą strawą emocjonalną w czasach młodości. Ale to niebezpieczny obraz. Stwarza oczekiwania, których żadna miłość nie jest w stanie spełnić.

Co więcej, jest w niej niebezpieczny, gwałtowny, a nawet śmiertelny składnik. Miłość i nienawiść są bardzo podobne. Kiedy kochamy kogoś, nie możemy przestać o nim lub o niej myśleć. Gdzie jest teraz? Czy zjadła śniadanie? Z kim się spotyka? Czy jest szczęśliwa? Kiedy nienawidzimy, również mamy obiekt przez cały czas na radarze. Co robi? Co ma na sobie? Czy jest, o zgrozo, szczęśliwa? Bardzo podobne uczucia. Dlaczego? Bo i w miłości, i w nienawiści jest silny element zaborczości. Nie przypadkiem zazdrość jest mieszaniną miłości i nienawiści. Pojawia się tam, gdzie się przecinają.

Ostatni wniosek, który wynika z mojego doświadczenia: za miłość zawsze płacimy częścią naszej wolności. Ja byłem gotowy, by zapłacić tę cenę, bo nigdy nie byłem fanatyczny, jeśli chodzi o moją wolność. Ale również starałem się nie być fanatykiem, gdy szło o moje miłości. **Znam ludzi, którzy mówią, że miłość ich wyzwala. Że właśnie daje im wolność.**

Nie wiem, co mają na myśli. Może dla ludzi, których seksualność w dzieciństwie była tłumiona, miłość jest wyzwalającym doświadczeniem. Ale to wyzwolenie raczej zmysłowe niż emocjonalne.

Jeśli mówimy o miłości w sensie emocjonalnym, to obie osoby składają w rękach drugiego część siebie. I często, a może nawet zawsze, jedna osoba składa w rękach drugiej więcej, niż dostaje. Zawsze jedno w związku bardziej płonie z miłości, a drugie bardziej pozwala, by go kochano.

A u pana jak jest? Czy to zbyt intymne pytanie?

Nie. Bywałem po obu stronach barykady. Dlatego mówię o tym z uśmiechem. I proszę przyjmować ten brak równości w miłości z uśmiechem. Dlaczego tak jest? Nie wiem. Czy to sprawiedliwe? Nie, to nie fair. Ale takie są fakty. Mówię to na podstawie własnego doświadczenia i obserwacji ludzi kochających się i zakochanych.



Amos i Nily Oz

**Wtedy bałem się kobiet.
Natomiast nigdy nie bałem się Nily.**

**Była odległa, niedostępna,
ale nigdy groźna**

Zdaje mi się, że ta wyzwalająca siła miłości może polegać na wyzwoleniu ze zbytniego zainteresowania sobą. Że pozwala dawać.

Trudno mi się z tym zgodzić. W miłości jest ogromny element egoizmu. Chcemy dawać, ale również chcemy dostawać. Chcemy posiadać. Chcemy wyłączności.

Wróćmy do mojego pierwszego pytania o znaczenie słowa „miłość” po hebrajsku. Składa się ono z dwóch części „ja” i „dawać”.

Owszem, hebrajskie słowo „ahav”, które jest w rdzeniu słowa „ahava”, miłość, oznacza dawać. Ale czy miłość to po prostu dawanie? Nie jestem pewien. Na pewno mogę powiedzieć, że najwyższym poziomem seksualności, jakiego doświadczyłem, jest ten rodzaj stosunku seksualnego, kiedy dawanie staje się braniem, a branie dawaniem. To niezwykle rzadkie.

Może pan to wyjaśnić?

Nie jest to łatwo opisać. W niektórych przypadkach, niezbyt często, dawanie rozkoszy i branie rozkoszy stają się tą samą rzeczą. Nie ma w tym znamion merkantylnej wymiany. Towarzyszy temu zaś uczucie, że rozkosz, którą dajesz, to rozkosz, którą czerpiesz.

Czy jest to związane z takim uczuciem, którego czasami można doświadczyć w seksie, że stajemy się jednym, przenikamy się?

Tak myślę. I z biblijną ideą, by „poznać kobietę”. To wyrażenie zostało zwulgaryzowane, bo dziś poznać kobietę to zabrać ją do łóżka, uprawiać z nią seks. Ale biblijne słowo „dą ‘at’” z Księgi Rodzaju oznacza dużo więcej. Oznacza „stać się jej częścią”. „Dą ‘at’” to nie tylko wiedza, poznanie, zrozumienie - poznać kobietę to być z nią jednym. I tak głosi Księga Rodzaju: dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem.

Oczywiście, to tylko chwile. Nie miesiące, nawet nie tygodnie czy dni. Nawet nie kilka godzin. To pojedyncze chwile. Ale te chwile są skarbem. Podgrzewają miłość w chłodniejsze dni.

Dlaczego ludzie uważają miłość za tak ważną część życia?

Po części przez systematyczne pranie mózgu, które zaczyna się od Jezusa Chrystusa, mojego ukochanego krajana. Jezus jest mi bardzo bliski, ale różnimy się w jednej lub dwóch sprawach. Jedną z idei, co do której się nie zgadzamy, podobnie jak z hipisami, to pomyśl, że miłość jest odpowiedzią na wszystko. Nie jest. Po pierwsze, dlatego że ta koldra jest zbyt krótka i wąska, by przykryć całe społeczeństwo, naród, ludzkość. A po drugie, dlatego że miłość jest niebezpieczna. Zgadzam się z tym, co mówi w mojej książce „Judas” Gerszom Wald, że miłość jest niepewną, wręcz niebezpieczną podstawą dla społecznych czy politycznych relacji, a na pewno nie może zastąpić w tych relacjach sprawiedliwości i szczodrości.

Pisze pan też, że miłość jest jak choroba albo wirus.

Cóż, tak miłość opisywana jest w pieśni Salomona - jako choroba. I taki jej obraz znajdziemy w dziełach romantyków.

Jeśli jest jak wirus, to jej nie wybieramy, lecz łapiemy. Ale przecież wszyscy chcemy miłości. Więc to tak, jakbyśmy chodzili bez szalików w chłodny dzień.

Tak, zgoda, chcemy miłości. Chcemy, bo z pewnym wyjątkiem rodzimy się w kochające ramiona matki. I potem szukamy takich kochających ramion przez resztę życia. Element wyboru jest tu bardzo ograniczony. Niektórzy ludzie chcieliby usiąść i napisać sobie listę cech, które są pociągające, i potem z tą listą w rękę iść na poszukiwania jak na rynek. Nie. Miłość tak nie działa. Miłość, jak wiemy, to mało prawdopodobna iskra, która czasami zapłonie między kobietą i mężczyzną lub mężczyzną i mężczyzną, lub kobietą i kobietą. Jej pojawienie się jest tajemnicze.

Może lepiej zrozumieć, czym jest miłość, jeśli opowie mi pan swoją historię miłosną.

Ach, to bardzo długa historia. Moja żona i ja jesteśmy małżeństwem od 58 lat. Nasz przypadek jest szczególny, bo moja żona, tak się składa, jest również moim najlepszym przyjacielem. To rzadko spotykane. Pośród znajomych par obserwuję, że albo mało się przyjaźnią, za to bardzo kochają, albo na odwrót.

Czy ta przyjaźń właśnie stwarza szansę długiego związku?

Nie wiem, czy to jest klucz do trwałego związku, ale na pewno przyjaźń bardzo go ułatwia. Bo miłość ma swoje góry i dolki. Potrafi boleć, ranić, obrażać. Każda miłość. Jeśli zaś kochankowie są również przyjaciółmi, łatwiej jest przetrwać mosty ponad przepaściami, ponad lodowatymi chwilami.

W „Opowieści o miłości i mroku” pisze pan o tym, jak brzydka potrafi być miłość w porównaniu z przyjaźnią.

Mama powtarzała mi, bym pamiętał, że w większości przypadków przyjaźń ma większe szanse na przetrwanie niż miłość. W przypadku moim i Nili jednak te dwa uczucia się łączą.

Co jeszcze? Mamy śródziemnomorskie temperamenty, gdy jesteśmy na siebie źli - krzyczymy. Od razu. Nie chowamy urazy. Jeśli miałbym wybierać między życiem w filmie Ingmara Bergmana z jego długimi, budzącymi poczucie winy chwilami milczenia a życiem w filmie Felliniego, w którym ludzie na siebie krzyczą cały czas pełnym głosem - głosuję na Felliniego. Wierzę w komu-



YASUMI

Znajdź swoje
Ikigai

(jap. powód, by żyć)



Pomożemy Ci stworzyć Twoje prywatne, biznesowe miejsce na ziemi.

Yasumi - franczyza kosmetyczna.

Największa sieć gabinetów beauty & SPA.
Biznes dla kobiet, które chcą decydować o sobie.

やすみ



facebook.com/YasumiPolska
instagram.com/yasumi_polska
domowesposobyspa.pl

yasumi.pl

CZYM JEST MIŁOŚĆ

nikowanie się, nawet jeśli oznacza od czasu do czasu tłuczenie talerzy.

Potrafiłmy też śmiać się z siebie nawzajem i z samych siebie.

Moja mama zawsze mi mówi, żeby nie traktować się tak śmiertelnie poważnie w małżeństwie.

I ile lat pani rodzice są ze sobą?

45.

Proszę przekazać im ode mnie, że pierwsze 50 jest najtrudniejsze. Potem jest coraz łatwiej.

Ale tak, pani mama ma rację, umiejętność śmiania się z siebie nawzajem, z samego siebie jest wyzwaniem. Rozcieńcza gniew. Bo gniew jest jak gaz, jeśli da mu się ujście, to się ulotni. Jeśli zaś pozwolimy mu się zbierać, zatrjuje ciało i duszę. Potrafi być zabójczy. Ludzie naprawdę umierają z gniewu. Ale...

Ale czy pan mi opowie tę historię miłosną?

No, może część. Przyjechałem do kibucu Chulda z Jerozolimy, gdy miałem 14 lat. Chłopiec z miasta, chudy, bladej, niski, mało atrakcyjny, bardzo introwertyczny, szalenie nieśmiały, całkowicie zawstydzony, jeśli idzie o dziewczyny. Zostałem purytańsko wychowany i chodziłem do religijnej szkoły dla chłopców. Dziewczynki były dla mnie jak kosmici.

Ale atrakcyjni kosmici.

O tak. Bardzo mnie pociągały. Nie wiedziałem jednak, co w nich jest tak atrakcyjnego. Były tajemnicą, zagrożeniem. Były z innej planety. Moi koledzy szkolni i ja w tej szkole religijnej mieliśmy zwyczaj wspinania się na mur szkoły dla dziewcząt, która była obok, żeby podejrzeć, co one robią, jak żyją. Byliśmy zszokowani, gdy zobaczyliśmy, że podczas przerwy tak jak my grają w piłkę i piją wodę z kranu na podwórku. Czyli jednak mieliśmy coś wspólnego z tymi kosmitkami! Gdy mieliśmy po 13, 14 lat, pojawił się w nas gniew. Bo młodzieniec w tym wieku jest niewolnikiem hormonów. Byliśmy zli na dziewczęta, bo miały skarb, którego pragnęliśmy, ale nie chcieli się nim z nami dzielić. Są okrutne, bez serca - uważaliśmy. Dlaczego są tak skąpe? Oczywiście nie myśleliśmy wcale o tym, że te nieliczne z nich, które podzieliły się swoim skarbem z chłopcami, były natychmiast wyzywane od najgorszych, stracone dla świata, dla małżeństwa, dla przyjaźni. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że stawiamy te dziewczęta w niemożliwej sytuacji - jeśli nie oddadzą swojego skarbu, są potworne, jeśli się nim podzieli, też są potworne.

A potem przybyłem do kibucu Chulda, gdzie były dziewczyny, które nosiły ekstremalnie krótkie kibucowe spodenki. Krótsze niż w moich najśmielszych fantazjach. I były dość swobodne, jeśli chodzi o kontakt cielesny, otwarcie rozmawiały o seksie, a nawet go uprawiały w wieku 15, 16 lat. Ja byłem lata świetlne od takiej swobody. Po części dlatego, że moja matka zabiła się, gdy miałem 12 lat, i było dla mnie zupełnie jasne, że skoro porzuciła mnie w ten sposób, to znaczy, że mnie nie kochała. Musiało być we mnie coś okropnego. A jeśli ona mnie nie kochała, to żadna kobieta nigdy mnie nie pokocha.

Czułem, że jestem nieatrakcyjny, i to sprawiało, że byłem nieatrakcyjny.

Więc pośród tej całej kibucowej zabawy, tańca, dotykania się, przytulania, żartów, swobodnych dyskusji, wiecznego lata stworzyłem sobie bańkę, w której wiodłem klasztorny żywot. Patrzyłem na dziewczęta z daleka i przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym zasłużyć na łaskę kobiecego dotyku.

A Nily?

Nily była najpiękniejszą dziewczyną w naszej klasie. Otaczał ją krąg admiratorów, zalotników i przyjaciół. Śmiała się, żartowała, tańczyła, śpiewała - wszystko to olśniewało mnie jak słońce. A w słońce nawet nie śmiemy spojrzeć, a co dopiero fantazjować o podróży w jego stronę.

Więc przez pierwszych kilka lat w kibucu czasami dzieliłem się z Nily swoimi wierszami. Pisałem nędzne sentymentalne wiersze. Chciałem zobaczyć, czy ją rozbawią - czasami tak się działo. Te wier-

sze traktowałem jak dar, który składa się bogini. Nikomu innemu ich nie pokazywałem. I z rzadka zdarzało nam się rozmawiać. Była szczodra, więc od czasu do czasu zwracała się do mnie kilkoma słowami, darowała mi uśmiech. Miała bardzo demokratyczne podejście, postępowała tak ze wszystkimi, nie tylko ze mną. Nie czułem się wyjątkowy. Dziś mówi mi, że byłem, ale nadal jej nie wierzę.

Potem przez jakiś czas miałem dziewczynę, a nawet kilka dziewczyn, spoza kibucu, a Nily miała wiele romansów i związków. Wszystko to zmieniło się właściwie w jedną noc, gdy mieliśmy 20 lat i kiedy staliśmy się kochankami i odkryliśmy, że przez cały ten czas byliśmy zakochani w sobie. Dla mnie to było objawienie. Nigdy nie podejrzewałem, że Nily mógłby podobać się ktoś taki jak ja. Dziś wiem, że pociągało ją to, że byłem inny niż wszyscy, jak stworzenie z innej planety. Byłem dla niej kosmitą.

Na czym polegało to objawienie? Co pan zrozumiał tamtej nocy?

Widzi pani, w tamtych czasach pociągały mnie seksualnie prawie wszystkie kobiety, niezależnie od wieku. To był czas ognia, buchającej lawy. Ale bałem się kobiet. Natomiast nigdy nie bałem się Nily. Była odległa, niedostępna, ale nigdy groźna. Dość dużo czasu

**Często, może zawsze,
jedna osoba składa w rękach
drugiej więcej, niż dostaje.**

**Zawsze jedno bardziej
płonie z miłości**

zajął mi zrozumienie, że to, że się jej nie obawiam, oznacza, że Nily przekazuje mi pewien rodzaj poczucia bezpieczeństwa. Poczucie bezpieczeństwa jest podstawą pewności siebie, a pewność siebie nas buduje, pozwala poczuć, że, owszem, możesz dotknąć.

To poczucie bezpieczeństwa łączy się z potrzebą odnalezienia kochających ramion, o której pan już mówił?

W moim przypadku tak, ale nie mogę generalizować. Bywa, że miłość wiąże się z fatalnym zauroczeniem, z jakąś chęcią cierpienia, ze zgubnym pragnieniem bycia upokorzonym lub upokarzania drugiej osoby. Widziałem takie przypadki. Nasza sytuacja była inna. U podstaw mojej miłości do Nily leżało poczucie bezpieczeństwa, którego nie czułem przy żadnej innej kobiecie od czasu, gdy zmarła moja mama. Nily jest przeciwieństwem mojej matki. Ona była depresyjna, a Nily jest sangwiniczką, pełną życia, radości.

Oczywiście ta historia miłosna ma swoje górki i dolki, odkrycia, zmiany. Miłość ma swoje pory roku: lato, zimą, wiosnę, jesień. Są dobre lata i złe, chwile radości i smutku. Największym kiczem na świecie, przykro mi to mówić, jest chrześcijańskie rozumienie szczęścia. Nie, nie zmieniam tematu. Chrześcijańska idea głosi, że jeśli będziesz postępować słusznie, to zostaniesz nagrodzony szczęściem, jeśli nie na tym świecie, to w przyszłym życiu. To szczęście wyobrażone jest jako stan jakiegoś poległowania z zamkniętymi oczami, wyciągania nóg i czucia się wiecznie zadowolonym. To przecież nie leży w naszej naturze! To absurd. Albo mamy szczyt, albo równinę. Albo plateau, albo klimaks. Jeśli istniałoby coś takiego jak wieczny orgazm, to nie byłoby orgazmem. Dlatego idea życia „długo i szczęśliwie” jest dla mnie ostatecznym kiczem. I to kiczem niesłychanie niebezpiecznym, bo niszczącym wiele żyć.

Wielu ludzi zakochuje się i oczekuje, że teraz będą już szczęśliwi. Ona mnie kocha, ja kocham ją - bądźmy szczęśliwi! To właśnie jest szczęście, na które czekaliśmy! A potem to po prostu nie działa.

jej gust co do poezji i muzyki i zobaczyć, czy jest podobny do twojego. Przez jakiś czas wtedy - a jeśli masz szczęście jak my, to przez wiele lat - życie staje się nieustanną rozmową, nie tylko werbalną, również fizyczną. Tak poznajesz ten kontynent coraz lepiej. Może się zdarzyć, i zdarza się często, że to, co odkryłeś, ci się nie spodoba. Albo że nie podoba ci się część tego kontynentu. Tak jest zawsze - nie da się lubić wszystkiego. Ale jeśli masz dość ciekawości i interesującego partnera, to zobaczysz, że nie tylko przez pierwsze tygodnie i miesiące, ale przez wiele lat ciągle odkrywasz coś nowego.

Na spotkaniu „Wieczoru pisarzy” w Hadze (jest na YouTube) mówi pan też, że osoba obdarzona ciekawością jest nie tylko lepszym człowiekiem, ale i kochankiem.

Osoba ciekawa zadaje sobie pytanie: a gdybym była nim? Albo: a gdybym był nią? Jeśli przychodzisz do łóżka i żądasz, jak z menu, tego na przystawkę, tego na danie główne, a tego na deser, to traktujesz swojego partnera jak kucharza, służącego lub kelnera. Jeśli zaś próbujesz się dowiedzieć, co twój partner lubi, i to nie tylko dlatego, że jesteś uprzejmy, lecz także dlatego, że naprawdę cię to zajmuje, to zostanie ci odpłacone. Bo będziesz czerpał z tego przyjemność. Jeśli jesteś - będę się trzymał gastronomicznych metafor - jednocześnie kucharzem i jedzącym, będziesz dobrym kochankiem, kochanką.

Rozumiem, że nie wystarczy sama ciekawość. To, co pan mówi, to to, że Nily jest fascynującą osobą. Że odkrył pan, że to piękny kontynent do podróży.

Tak. To moje szczęście, że Nily jest pełna niespodzianek. Nawet dziś potrafi mnie zaskoczyć - staje się nagle smutna, kiedy zupełnie się nie spodziewam, że może ją coś zasmucić. I radosna w momencie, gdy zdaje mi się, że nie ma ku temu powodu. Podekscytowana czymś, co nie podejrzewałem, że może ją podniecać. I nagle znudzona czymś, o czym myślałem, że będzie dla niej ciekawe. Inny mężczyzna mógłby być tym poirytowany. Ktoś inny mógłby powiedzieć: ta kobieta nie jest konsekwentna. Albo w tę, albo we w tę! Ale ja akurat to lubię w Nily i myślę, że ona lubi to samo we mnie, choć nie mogę za nią świadczyć.

Więc ta podróż po nieznanym kontynencie trwa i nadal nie znam każdego krańca tego łądu, i mam nadzieję, że będzie tak do końca.

Jak z czasem zmienia się miłość?

Zmienia się wraz z dziećmi. Narodziny dziecka zmieniają wszystko. Po pierwsze, jeśli jesteś ojcem, możesz poczuć się urażony. Kiedyś miałeś całą uwagę dla siebie i nagle musisz ją dzielić z jakimś rozwrzeszczanym obcym człowiekiem. Irytujące. Więc pojawia się element zazdrości. Bo, jak mówiłem wcześniej, miłość ma w sobie składnik zaborczości. Ale z czasem dziecko staje się bliższe, bardziej znane i odkrywasz, że ta istota nie jest tak naprawdę obcym. Jest po części tobą, po części twoim małżonkiem. I nagle twoja ciekawość zwraca się w jego stronę: jakie jest to małe stworzenie? I masz kolejny kontynent do odkrywania. Tym razem robicie to razem. Więc nagle Nily i ja, razem, podróżowaliśmy ręką w rękę po kolejnym kontynencie.

Znów mieliśmy szczęście. Znam przypadki, kiedy pierwsze dziecko jest końcem miłości. Zdarza się i tak. Więc ostrzegam przed idealizowaniem dzieci jako ostatecznego ucieleśnienia miłości między ludźmi.

Amos Oz

- najpoczytniejszy na świecie pisarz izraelski, eseista i publicysta. Pisać zaczął w kibucu Chulda. Tam też poznał swoją przyszłą żonę Nily. Jest autorem powieści, m.in.: „Mój Michał”, „Poznać kobietę”, „Judas”, autobiograficznej „Opowieść o miłości i mroku”. W maju wydawnictwo Rebis wyda jego nowy zbiór esejów „Do fanatyków. Trzy refleksje”

W naszym przypadku dzieci stały się, owszem, źródłem częstych różnic zdania i kłótni. Jednak kłótnie nie są konieczne wrogiem miłości. Kłótnie mogą być dla miłości witaminą. Ponieważ poznajecie siebie, swoje nowe strony, macie coś wspólnego, o co chcecie walczyć. **Często czytam w wywiadach z psychologami, że pożądanie musi umrzeć w związku i że to bardzo trudny moment.**

Czytałem o tym. Być może statystycznie to prawda. Ale mnie nie interesują statystyki. Nie ciekawią mnie również zbyt psychologia i socjologia. Za to zajmują mnie różne formy bycia nieszczęśliwym. Włączając w to nieszczęście erotyczne. Bardzo często to nieszczęście ma związek z brakiem wyobraźni, z nierealistycznymi oczekiwaniami, z dziecinnymi ideami, z pogoń za pobiciem jakichś rekordów. To wielcy wrogowie życia rodzinnego i ludzkiej seksualności. W miłości spotykają się szczodrość i ciekawość drugiego człowieka, i wiele składników, których nie potrafię nazwać. Dla mnie szczodrość jest najsłodsza cecha u kobiety. Nie tylko w łóżku. We wszystkich dziedzinach życia. To pocucie, że partner nie tylko jest gotów czy chętny, by dawać ci to, czego pragniesz, ale że jest szczęśliwy, że to dawanie go uszczęśliwia.

(wchodzi Nily Oz)

Właśnie rozmawiamy o miłości.

NILY: Ludzie często nas pytają, jak udało nam się tak długo przeżyć razem. Nasze małżeństwo - to dla mnie jasne od samego początku - było wielkim sukcesem. Bardzo się o siebie troszczyliśmy. Teraz, gdy przyglądam się różnym parom, wcale to nie jest takie oczywiste - ludzie już się tak o siebie nie troszczą, zdaje mi się.

Druga rzecz - żyjemy w trudnej rzeczywistości. Pamiętam, jak kiedyś siedzieliśmy z Amosem wieczorem i czytaliśmy książki. Nagle dzwoni telefon - nasza środkowa córka, która wtedy miała dwoje dzieci, w przedszkolu i w drugiej klasie podstawówki. To był czas wojny w Zatoce Perskiej. Więc ona dzwoni i mówi, że chciała nas tylko poinformować, że zdała sobie sprawę, że w przedszkolu i szkole nie ma schronu, więc od jutra przestaje wysyłać tam dzieci. I odkłada słuchawkę. Jeśli więc ktoś mnie pyta, jak to możliwe, że tak długo jesteśmy razem, mówię, że żyjemy w takiej rzeczywistości, że musimy dbać o siebie nawzajem.

AMOS: Ależ Nily, jakoś ta sytuacja nie uchroniła wielu innych małżeństw w tym kraju przed rozpadem.

NILY: A! Bo jest jeszcze jedna rzecz. My z Amosem mamy umowę. Kiedy byliśmy dziećmi, jeszcze zanim się poznaliśmy, trwała izraelska wojna o niepodległość. Amos był w Jerozolimie i cierpiał straszny głód. Ja mieszkalam w kibucu, gdzie było jedzenie, ale za to nie mieliśmy pieniędzy na ubrania i ogrzewanie. Cierpiałam tak bardzo z przemarznięcia, że pamiętam to do dziś. Więc gdy wzięliśmy ślub, powiedziałam: „Amos, od dziś, przysięgam ci, że nigdy nie będziesz głodny, a ty przysięgnij mi, że już nigdy nie zmarznę”.

AMOS: Co prawda zdarza się, że Nily jest głodna, a ja zmarznięty...

NILY: Nie, nie, nie! Amos, nie żartuj sobie.

AMOS: I jest jeszcze jedna rzecz, którą ci przysięgałem, żeby cię przekonać do małżeństwa. Decydująca, moim zdaniem. Ty powiedz.

NILY: Amos obiecał, że nie będzie dnia, w którym bym się nie śmiała. ●



Amos Oz
„Poznać kobietę”,
przełożyła Ewa Świdarska,
wyd. Rebis



Świąt białych,
pachnących choinek,
śpiących w ciepłej,
rodzinnej atmosferze
dających radość i odpoczynek

zyczą
monnari

WIELKA WYPRZEDAŻ
WSZYSTKO
-50%

ZAPRASZAMY DO SALONÓW
emonnari.pl

Regulamin dostępny w salonach





ŻYCIE Z KLEKSEM

Dobrze mieć chłopca, dziewczynkę i jakąś postać ze świata fantazji albo uczłowieczone zwierzę

Z Szarlotą Paweł rozmawia **Olga Wiechnik**

N

a pani komiksach wychowało się kilka pokoleń Polaków. Lubi pani dzieci?

Jak w latach 70. zaczynałam rysować komiksy dla dzieci, publikowane w „Świecie Młodych”, to przede wszystkim lubiłam się wygłupiać. Rozśmieszać - to była moja pierwsza motywacja.

A jak w '83 roku syn mi się urodził, to się na coś w końcu to rysowanie przydało - jego prestiż wśród kolegów znacznie wzrósł, gdy się okazało, że te komiksy o Piekelnym Kubusiu i te o Jonce, Jonku i Kleksie to jego mama rysuje. Szczególnie że na początku lat 90. pracowałam przez kilka lat w jego podstawówce. Uczylałam plastyki i ZPT. Ale nikogo chyba niczego nie nauczałam. No, ale trzeba było z czegoś żyć.

Komiksy nie wystarczały? Ma pani na koncie 4 mln sprzedanych egzemplarzy!

Jestem bardzo rozrzutnym człowiekiem. Poza tym remontowaliśmy akurat dom i potrzebna była kasa na te wszystkie cegły i kafelki, więc wzięłam dodatkową pracę. Ale moje komiksy powstawały w innych czasach, proszę pamiętać. W PRL-u autor nie miał tylu praw. O tym na przykład, że jeden z moich komiksów został wydany w Finlandii, dowiedziałam się przypadkiem.

Jak to?

Któregoś dnia, grzebiąc w szafie w redakcji, znalazłam fińskie pismo dla młodzieży. I cóż było na ostatniej stronie? Mój komiks! Pies z kulawą nogą się mnie nie pytał o zgodę. Jak poszłam do szefa, żeby dowiedzieć się, jak do tego doszło, powiedział: „No wiesz, kiedyś ci wspominałem, że jadę do Finlandii i zabiorę ze sobą twoje komiksy”. Ale że coś z tego wyszło, to już mi nikt nie powiedział. Przedrukowali całą historijkę, a ja nic z tego nie miałam.

Poza sławą. Była pani gwiazdą polskiego komiksu. Czuli się pani sławni?

W pewnym momencie tak się poczułam. Usłyszałam swoje nazwisko w telewizyjnym „Jeden z dziesięciu”. Pytano o autora komiksów o Jonku i Jonce. I, o zgrozo, uczestnik znalazł odpowiedź. Tak, to było dość wzruszające.

W 2010 roku dostała pani od ministra kultury odznaczenie Gloria Artis...

Ano dostałam. Do dziś jeszcze łkam ze wzruszenia.

...doceniono „walor edukacyjny i wychowawczy” pani komiksów oraz „kreowanie pozytywnego obrazu świata”. Jest pani optymistką?

W żadnym razie. Pozytywny? Tak napisali? No proszę, a wydawało mi się, że robię czarną karykaturę. Dydaktyzm był oczywiście ważny, ale bez tanich chwytów. Żadnej nachalności! A wie pani, że za komuny byłam w prasie nazywana ikoną PRL-u?

I jak się pani z tym czuła?

Szarłota Paweł

(właśc. Eugenia Szarłota Paweł-Kroll, ur. 1947) – graficzka, malarka i autorka bardzo popularnych komiksów dla dzieci, m.in. serii o Jonce, Jonku i Kleksie oraz o Kubusiu Piekelnym, publikowanych w latach 1974–93 w „Świecie Młodych” i innych czasopismach. Wielokrotnie wznawiane wydania albumowe jej komiksów sprzedawały się w łącznym nakładzie ponad 4 mln egzemplarzy

(25)

Fatalnie! PRL to był czas, kiedy ja się uczyłam, pracowałam, kochałam. Żyłam! Takich czasów sobie nie wybrałam, ale ponieważ takie mi przypadły, to się do nich odnoszę z szacunkiem. I w tym sensie się z nimi utożsamiam i nie dam się za szczękę szarpać - strasznie mnie wkurza, jak się komuś wypomina, że coś za PRL-u osiągnął. Na te czasy, czasy swojej młodości, patrzę ze wzruszeniem. Ale ta „ikona PRL-u” to brzmi politycznie, a ja się od polityki zawsze trzymałam z daleka - nie znoszę wtrętów politycznych w komiksie. O ile nie można z tego zrobić dobrego dowcipu, to nie ma sensu w ogóle tego robić.

Ale kłopot z cenzurą pani miała.

Tak. Raz. O szynkę poszło. Jonka i Jonek lecą balonem i wypadają im kanapka, którą sobie zrobili na drogę. A pod nimi jest domek, babcia z dziadkiem siedzą i babcia do dziadka mówi: „Zobacz, czy pada”. Dziadek wystawia rękę przez okno i ta kanapka na niej ląduje. Dziadek na to: „Patrz, jakie wielkie krople i w dodatku pachną szynką”. I to był jedyny raz, kiedy mi zakwestionowano tekst. Ta szynka, co jej w sklepach nie było, strasznie gryzła w zęby. Urodzeni w PRL-u do dziś bardzo żywo na szynkę reagują.

Do dzisiaj wielu pani czytelników jest przekonanych, że ulubione komiksy ich dzieciństwa – o Piekelnym Kubusiu, o Jonce, Jonku i Kleksie – pisał mężczyzna.

Tak było od samego początku. Pierwsza z brzo-gu historia: Stoczek Łukowski, spotkanie autorskie w szkole. Przyjeżdżam, podchodzę pod drzwi i słyszę, jak na sali pełnej dzieciaków zapowiadają mnie jako Pawła Szarlotę. Wchodzę do środka, a dzieci patrzą ponad moją głowę na drzwi i czekają. Tak, trochę mnie to denerwowało.

Była pani jedną z bardzo nielicznych kobiet, jeśli nie jedyną kobietą zajmującą się w latach 70. i 80. komiksem.

A może to dlatego, że ja miałam być chłopcem? Mój tata bardzo przeżył, że mu się „dziura” urodziła. Chciał syna, więc ganiałam w spodniach, po drzewach laziłam. Uczyl mnie łowić ryby, wiosłować. Musiałam mu pomagać przy silniku do łodzi. A nie jestem człowiekiem technicznym, więc to się zwykle kończyło paskudnie. Na szczęście ojciec nauczył mnie też czytać, miałam wtedy pięć lat. W domu była ogromna biblioteka i ja ją całą przeryłam. Oczywiście były tam i prohibity - strasznie mnie interesowały książki z lekko erotycznymi ilustracjami Mai Berezowskiej.

Zainspirowały panią?

Wtedy nie, choć na urodziny męża zdarzało mi się później rysować świńskie komiksy z Kleksem w różnych rolach erotycznych. To miała być taka tradycja na całe życie. Trafiły do mojego fan-klubu w Toruniu. Niedawno od nich zresztą dostałam nagrodę. Bardzo piękną, takie połączenie nocnika z samowarem.

Były jakieś komiksy w tej wielkiej bibliotece rodzinnej?

Większość ludzi reaguje niechętnie na komiksy. Nie bardzo wiedzą, czym to się je, bo dorośli nie umieją tego czytać. A dziecko ma taką wyobraźnię, że bez trudu robi sobie w głowie z komiksu film rysunkowy.



Kleksa, bohatera swoich najpopularniejszych komiksów, stworzyła zainspirowana przez Papcia Chmiela. Zabawne, nieco groteskowe przygody atramentowego stworka rysowała przez kolejnych 18 lat

Jako dziecko nic nie wiedziałam o komiksie. Jedyne, z czym się zetknęłam, to jakiś przedwojenny zeszyt z przygodami Myszki Miki tłumaczony na polski w takiej konwencji jak „Koziołek Matołek” Walentynowicza - rysunek i czterowiersz pod spodem. Żadnych dymków, żadnych znaczników ruchu. Jak już byłam znacznie starsza, zetknęłam się z „Tytusem, Romkiem i A'Tomkiem”, bo mój siostrzeniec chciał, żeby mu to czytać. I dopiero wtedy zrozumiałam, że to jest przede wszystkim akcja, ma swój czas i miejsce, swoją dynamikę. Że komiks to nie tylko kreska, ale przede wszystkim opowieść.

Z Papciem Chmielem, autorem „Tytusa, Romka i A'Tomka”, zetknęła się pani niedługo potem – w windzie.

Pamiętam to jak dziś. Obronił mi dyplom, wyszliśmy na dziedziniec ASP i podchodził do nas jeden z wykładowców z pytaniem, czy ktoś z nas rysuje komiksy, bo praca jest. A ja na słowo „praca” reagowałam niezwykle żywo, bo bardzo chciałam mieć własne pieniądze.

Więc się zgłaszam, choć melodii komiksu w ogóle jeszcze wtedy nie znałam. On na to, żeby pójść do redakcji pisma „ItD”. Było takie, pracował w nim m.in. prezydent Kwaśniewski. Stamtąd wysłali mnie do „Świata Młodych”, harcerskiej gazety dla nastolatków. Redakcja mieściła się w starej kamienicy na piątym piętrze, na szóstym był „Przegląd Sportowy”. Podchodził do windy, a w niej już ktoś jest, więc pytam: „Czy mogę się z panem zabrać?”. Że mam do czynienia z mężczyzną, to się raczej domyślałam, bo w przypadku Papcia Chmiela to nie było takie oczywiste: rozwichrzone białe włosy, skórzane spodnie i futerko ze sztucznego czarnego misia. Wyglądał diabolicznie. Fajnie!

No więc jadę z tym panem windą, a pod pachą trzymam teczkę z rysunkami, bo miałam się pokazać od strony twórczej. I ten pan tak jakos na mnie patrzy i za teczkę łapie - od razu wiedział, o co chodzi. Wyrzywa mi ją spod pachy i mówi: „To ja zobaczę”. Ale ja się wstydziłam i zaczynam się z nim w tej windzie szarpać. Te jego włosy falują, futerko powiewa, a my się szamoczymy. Było to dość komiczne, choć wtedy chciałam mu dać w łeb. Wysiedliśmy z windy, on wchodzi w jedne drzwi, ja w drugie, ale spotykamy się w środku, bo choć drzwi dwoje, pomieszczenie było jedno. No i nie miałam już wyjścia, musiałam mu te swoje rysunki pokazać.

Spodobały mu się?

Od razu się przyznałam, że o komiksie nie mam pojęcia. On oczywiście miał niemałe i dał mi ostrą szkołę. Nauczył mnie m.in., że dobrze mieć trzech bohaterów: chłopca, dziewczynkę i jakąś postać ze świata fantazji albo uczłowieczone zwierzę. No i stąd mój Kleks. Taka postać fantastyczna, inspirowana smurfami, z czego zdałam sobie sprawę dopiero po latach. Ale Papcio dał mi szkołę nie tylko teoretyczną, ale i, można powiedzieć, praktyczną. Kiedyś pojechaliśmy na obchody Dni Oświaty, Książki i Prasy do Lublina. Papcio urządził w parku teatrzyk dla dzieci, mnie obsadził w roli ciotki Tytusa. Złożył mi maskę małpy i kazał latać po ławkach. Strasznie mnie wtedy przeczolgał. Zwłaszcza że nie byłam na to przygotowana. Miałam na sobie sukienkę od Barbary Hoff,



piękną! Z wzorem w idące wielbłądy. Niestety, jak później przytyłam, z wielbłądów zrobiły się jamniki.

Zwierzęta też pani malowała.

Zajmowałam się malarstwem animistycznym, robiłam encyklopedyczne ilustracje. Kiedyś zamówiono u mnie gepardy. Boże, ileż ja się z tymi cętkami męczyłam! A tak dla siebie, dla przyjemności, rysowałam koty. Jak tylko jakiegoś spotkałam, robiłam mu zdjęcie i potem w domu rysowałam pastelami portret. Miałam kiedyś pięknego rosyjskiego kota, nazywał się Hipolit. Miałam też żółwia. Synowi kupiłam, bo chciał mieć pieska i musiałam to jakoś załagodzić. I niechcący na tym żółwiu stanęłam. Nie przeżył.

Tragedia.

No tragedia. Ale ja do wszystkiego staram się podchodzić lekko półśmiesznie. Strasznie lubię się śmiać, a śmieją mnie nieraz głupie rzeczy. To się zresztą bardzo przydaje przy tworzeniu komiksów. Żart to jest świetny punkt wyjścia. Taka scenka: gesty las, sterczą blanki jakiegoś zamku, a nad tym rysowana onomatopeja krzyku: ktoś wzywa pomocy. I dalej zbliżenie, jak w filmie: w oknie stoi rycerz w hełmie z zamkniętą przyłbicą i krzyczy: „Ratunku!”. Bo mu się zatrasnęła i on nie może teraz zębów umyć.

A w życiu poczucie humoru w czym pani pomogło?

W przeżyciu. Jak po udarze przyjechałam tu, do tego - no, jak by nie kombinować - domu starców i posadzono mnie na patio, to zgłabiałam. Dotąd byłam święcie przekonana, że stare to są moje ciotki. A tu nagle cała ta menażeria i ja wśród tego wszystkiego. Nie powiem, że bym była zachwycona. Pomyślałam ze strachem, że to jest zaraźliwe. Że starością się można zarazić. Od ośmiu lat żyję w tej atmosferze oswojonej starości.

A ten udar to lekarz mi w szpitalu zafundował.

Jak to?

Miałam zawał i trzeba było to potwierdzić. Zrobiono mi zabieg, który się nazywa koronarografia. Przez metalową rurkę do żyły wchodzi kamera, wpuszcza się do krwi kontrast i ogląda się to wszystko na ekranie, szuka skrzepu.

Ja to potem dokładnie oglądałam, mam płytę z tego zabiegu.

Z prawej strony głowy jest naczynko włosowate, cieniuse takie. Lekarz mówi w pewnym momencie: „Muszę zwiększyć ciśnienie kontrastu”, i naciska na taką wielką strzykawkę, a ja czuję, jak to przeze mnie płynie.

Okazało się, że skrzep jest. I on tym zwiększonym ciśnieniem kontrastu wepchnął mi go do tego małego naczynka. Nagle usłyszałam, jak lekarz mówi: „O k..., widziałem go, jak się urwał”. Nie wiedziałam, o co chodzi, chciałam coś powiedzieć, ale już tylko zabelkotałam. W ogóle nie mogłam się wysłowić. On do mnie, że już mogę się ubrać. No to ściągam nogi ze stołu, chcę stanąć i pierdut na podłogę, bo noga i ręka już były porażone. To mnie zebrali na szcztokę i zmiotkę i odwieźli na salę.

Nikt mi nie powiedział, że z tym zabiegiem wiąże się jakieś ryzyko, że to się może tak skończyć. O to mam do szpitala żal. I do lekarza. Jego twarzy nie zapomnę, bo wisiała nade mną, gdy to się stało. Ten skrzepik popsuł mi w głowie pliki pamięci ruchowej. Teraz robią na to operację - da się taki skrzep z naczynia wyjąć. Mnie nikt nie powiedział, że jest taka możliwość.

Może wtedy jeszcze jej nie było?

Może. Ale rozgoryczona jestem nadal.

Coś ciekawego pani opowiem. Tu jest bardzo bogata flora i fauna. Raz przyszedł szop pracz. Pani sobie to wyobraża? Tu, na same schodki, pod moje okno. Mamy tu w ogrodzie fontannę z basenikiem, więc miał gdzie prać. Poza tym kaczki krzyżówki przylatują. Tłuste są, fajne. Dzisiaj nawet jedna przed panią była. Ryjówki też już są. Ładny mam tu widok, prawda?

Ostatni komiks, jaki pani narysowała, powstał na zamówienie warszawskiego Instytutu Onkologii. Opowiada o dzieciach, które uczą rodziców zdrowych nawyków: namawiają do jedzenia warzyw i rzucenia palenia, zniechęcają do solarium i windy. Ten komiks miał dla pani też znaczenie osobiste?

Na onkologię na Ursynowie wozłam męża. Któregoś dnia zadzwonił do mnie ktoś stamtąd, byłam wtedy w Gdyni w sklepie. Spodnie mierzyłam, pamiętam. Jakiś facet pyta, czy mogłabym zrobić komiks prozdrowotny. No to zrobiłam. Mój mąż już wtedy nie żył. Wycięli mu prawe płuco, po operacji przeżył trzy i pół roku. Ta jego choroba to było wielkie niedopatrzenie z mojej strony, bo to ja dbałam o zdrowie w rodzinie. I nie przyszło mi do głowy wcześniej, żeby wysłać go na badanie krwi albo rentgen płuca.

Przecież to nie jest pani wina!

Ale u mnie w domu była taka tradycja, że każdy raz w roku badał sobie krew. Jak już w końcu męża zmusiłam do tego badania, okazało się, że ma cukrzycę. A potem rak prostaty z przerzutem do płuca. Mógł jeszcze pożyć, ale ja nie umiałam, bo ta cukrzyca... trzeba karmić odpowiednio, ja sobie z tym nie radziłam...

Jak pani męża poznała?

Nie uwierzy pani. Przez ogłoszenie. Było takie biuro w Warszawie - Biuro Matrymonialne „Syrenka”.

Mój pierwszy mąż był kolegą z uczelni, cudownym malarzem surrealistycznym. Stworzyliśmy taki trochę kulawy związek. Kulawy dlatego, że nie nauczyliśmy się siebie kochać. A to bardzo ważne jest w życiu. Małżeństwo skończyło się rozwodem. Strasznie mi było źle samej. No to sobie myślę: skoro jest taka instytucja jak biuro matrymonialne, to dlaczego mam nie spróbować?

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

cojestgrane24

PATRONUJE:



GAZETA wyborcza

PORTRET

To była miłość od pierwszego ogłoszenia?

A skąd. Śmieszniej było. Co tydzień przysyłali wybór ofert - jak ja nie lubię tego słowa, jest obrzydliwe. No i w końcu jeden oferent szczególnie mnie ubawił, bo napisał, że jest dyrektorem, i widać było, że dumny z tego strasznie! Z wykształcenia historyk archiwista, z zawodu dyrektor. To go zaczęłam, najpierw tekstownie, a potem telefonicznie. Obsmiałam dyrektora, a potem za niego wysłam.

Mój ostatni partner też był z ogłoszenia, ale już z Sympatii.pl. Skomputeryzowałam się błyskawicznie z pomocą syna. Był już dorosły i wściekał się na mnie, że się ciągle czepiam. Bo ja jestem matka nadopiekuńcza. Więc żeby się odczepiła, skonfigurowałam mi komputer, pokazałam tak z grubszą, co i jak, i powiedział: „To ty się pobaw”. Szybko się wciągnęłam. I któregoś dnia patrzę - portal randkowy! Mówię: „Jędrak, ty mi powiedz, co ja mam z tym zrobić”. Przejrzałam zasady działania, wytłumaczyłam, a ja napisałam szybko zgrabne ogłoszonko. I wyjechałam sobie fajnego mężczyznę. Marynarza! Sześć lat byliśmy razem, mieszkaliśmy trochę w Gdyni, trochę w Warszawie. Bardzo to lubiłam, bo ja jestem kobieta mobilna.

Była pani kochliwa?

Jak królik! Bardzo lubiłam ten stan zakochania. Najlepszy stan dla kobiety! Ja w ogóle szaleńczo żyłam. Z szumem i z hukiem, można powiedzieć. Miałam dwóch mężów i trzech dobiegaczy. I nie wstydzę się tego, nawet tu już o mnie plotkują: „rozpustna starucha”, „emerytowana nimfomanka”. Sama tak zresztą o sobie mówię, żeby ludziom siebie obrzydzić.

Dlaczego chce pani siebie ludziom obrzydzić?

Żeby się hartować.

Tu nie ma tygodnia, żeby ktoś nie umarł. Spotykamy się w kawiarni i tylko patrzymy, kogo nie ma. Jacy ludzie tu nieszczęśliwi są, nie ma pani pojęcia. Co taki udar robi z człowieka. I wszyscy są tym tacy zaskoczeni. Starość tak zniwiera spada i zupełnie nie wiadomo, co z nią zrobić. Większość się poddaje, przybiera leżący tryb życia. Ja też sama się nie podniosę. Ten chłopak, co tu przed chwilą zajął, to Rafał, opiekun, fajny! Pomaga mi się przenosić z łóżka na fotel i z powrotem. Bo ja sama pozycji nie zmienię. Osiem lat rehabilitacji i głównie z tego wyszło. Zabrakło mi mobilizacji. Miałam gdzieś te wszystkie ćwiczenia. Męczyły mnie.

Dlaczego zabrakło pani motywacji?

Trafiłam tu, bo po udarze rodzina nie była mi w stanie zapewnić opieki. Chociaż jakby się uparli i przeanalizowali ze mną sytuację... Miałam trochę oszczędności, mogłam płacić opiekunce... Przychodziła do mnie przez rok Rosjanka, świetna kobieta. A ja rosyjski znam dobrze, bo u mnie w domu po wojnie, po powrocie rodziny z Kazachstanu, mówiło się po rosyjsku i niemiecku. Taki paradoks tamtych czasów.

Swoją rodzinę opisała pani w książce - powieści autobiograficznej „W stronę lata”.

Minipowieści. Strasznie smutnej. W każdym razie ja płakałam nawet po wydrukowaniu. Napisałam o moich bliskich, których już nie ma. Byliśmy wszyscy połączeni wspólnymi wakacjami nad jeziorem Wigry. Moja rodzina pochodziła z Kresów i na wakacje szukała miejsc, które im przypominały tamte miejsca i czasy.

Kim byli pani rodzice?

Na urodziny męża zdarzało mi się rysować świńskie komiksy

z Kleksem w różnych rolach erotycznych

Pięknymi i wspaniałymi ludźmi. Ojciec był lekarzem weterynarii, w związku z czym do zwierząt i przyrody miał niesłychanie dobry stosunek. Był pysznym człowiekiem, lubił się zgrywać. My z siostrą mamy to po ojcu.

Jego historia nie daje mi spokoju. Szukam jego śladów, bo nie jestem pewna, czy w tym, co mi opowiadał, nie zbijał. Bo lubił troszkę zmyślać. Nie znam jego pseudonimu, wstyd mi strasznie, więc nie udało mi się zweryfikować tego, co mi opowiadał. A opowiadał, że w czasie powstania warszawskiego jako lekarz bądź co bądź, choć weterynarii, dostał rozkaz utworzenia lazaretu powstańczego, takiego wędrownego szpitalika. I w pewnym momencie doszli na Ochotę, do kościoła św. Jakuba. Lazaret umieścili w podziemiach. I przyszli gestapowcy. Dirlwangerowcy, ci najgorsi, wyszkoleni przez Niemców ukraińscy nacjonaliści, którzy słynęli z okrucieństwa. Mój ojciec znał dobrze niemiecki, usiadł z ich przywódcą, SS-manem, pili wódkę z eterem i rozmawiali o poezji Schillera. Bardzo komiksowa scena. Ale nie na wiele to się zdało. Większość rannych zabili strzałem w głowę. Ojciec, lekarze i ci, którzy przeżyli, musieli się ewakuować - przez piwnicę domu obok uciekli na ulicę.

Tak mnie dręczy los mojego taty. Chciałabym wiedzieć, czy ta historia jest prawdziwa, czy ogał, bo chciał się pochwalić...

Skoro nie ma jak sprawdzić, może lepiej wierzyć, że nie ogał.

O mamie jeszcze powiem trochę, bo też fajna była. Na Kresach leczyła zębodoły. I tam tatę poznała. Przenieśli się do Warszawy, ale wakacje 1939 ich córka Krysią spędzała u dziadków koło Brześcia. Miała wtedy pięć lat. Ojciec poszedł do wojska, a mama - po Krysię, na piechotę z Warszawy do Brześcia. Miał wracać do domu, ale przyszli Rosjanie i wywieźli całą rodzinę do Kazachstanu. Wrócili dopiero w '46 roku, niedożywieni, z początkami gruźlicy. Tata mieszkał już wtedy w Warszawie u swojej mamy. No i wróciła żona, za którą bardzo tęsknił, i córka, której w ogóle nie znał - moja 12-letnia już siostra.

Ojciec tak strasznie zapragnął syna. No i w 1947 urodził się ja. Trzy dni pił z tego żalu. A jak wytrzeźwiał, rozpoczął misję uchłopczenia mnie.

Dlatego ja w tej swojej książce występuję jako dwie osoby, jestem sobą i swoim nieistniejącym bratem.

Żałuję, że nie byłam chłopcem.

Myśli pani, że łatwiej by się pani żyło?

Ojciec byłby szczęśliwszy.

Opowiem pani historię, która jest tylko trochę analogiczna. Urodziłam syna, jak już byłam dość leciwa, miałam 36 lat. Tak mi się zachciało strasznie mieć dziecko. I to syna właśnie. Do tego stopnia, że nie miałam imienia dla córki, miał być Jędrak. Wtedy nie robiono USG, przynajmniej nie wszyscy dopiępowali tego zaszczytu. Mój mąż nie bardzo wierzył, że się uda, w poprzednim związku nie miał dzieci. No i urodził się Jędrus. Mąż przez trzy dni pił. Z radości!

Syn jest diabelnie przystojny. Bliźniak swojego ojca. Rodzina męża też była przez los bardzo potargana, jak moja.

Jeszcze coś pani opowiem. Rośnie tu za oknem orzech włoski, na razie dopiero kwitnie, owoce będą na jesieni. I wtedy wiewiórki się cudownie zachowują. Śmigają po gałęziach w tę i w tę, moim zdaniem liczą, ile będzie orzechów. A jak orzechy dojrzeją, to się zaczyna walka między wiewiórkami a wronami, kto więcej zbierze. A może po prostu ja to tak interpretuję, bo wszędzie widzę jakąś opowieść.

Wę mnie wszystko wsiąka. Jak gąbka pochłaniam historie. Te małe i te wielkie. Ja tak lubię słuchać! W ludzkich losach można się rozsmakować. Ludzi można jeść łyżkami. Nawet należy! ●

Sekret pięknych włosów

LEŻY W TWOJEJ NATURZE



Na czym polega terapia REGENERA ACTIVA?

W metodzie REGENERA ACTIVA wykorzystujemy regeneracyjne właściwości naszych własnych komórek do pobudzania procesów tworzenia nowych naczyń krwionośnych w skórze oraz regenerację mieszków włosowych. Zabieg Regenera Activa polega na mikropięszczeniu komórek progenitorowych skóry i podaniu go temu samemu pacjentowi w okolicy mieszków włosowych aby pobudzić ich wzrost i przywrócić im odpowiednią kondycję.

Masz problem z wypadaniem włosów?

Łysienie androgenowe to nie tylko męski problem. W pewnym okresie życia nawet 40% kobiet doświadcza utraty włosów, która związana jest z destrukcyjnym działaniem hormonów na mieszki włosowe. Androgeny powodują postępującą miniaturyzację i następnie zanik mieszków włosowych.

Z biegiem czasu włosów jest coraz mniej i stają się coraz cieńsze. Spośród wielu terapii łysienia androgenowego szczególnie polecam system do autoprzeszczepu komórek skóry REGENERA ACTIVA, który jest najnowszym osiągnięciem medycyny regeneracyjnej ostatnich lat.

Zabieg. Efekty. Nowe włosy.

Zabieg Regenera Activa cenimy głównie za znakomite efekty, które możemy uzyskać w dość krótkim czasie po zabiegu (6-10 tygodni) oraz za jego niewielką inwazyjność dla pacjenta. Jest zabieg jednorazowy i nie ma konieczności wykonywania go w serii. W pierwszym etapie wykonujemy niewielkie biopsje skóry (2,5 mm średnicy) z okolicy owłosionej skóry głowy, w miejscu gdzie mieszki włosowe są najmniej podatne na działanie androgenów. Następnie pobrany materiał umieszczamy w specjalnym filtrze i za pomocą urządzenia Regenera Activa separujemy komórki skóry odpowiedzialne za regenerację mieszków włosowych. Tak przygotowaną zawiesinę podajemy za pomocą głębokiej mezoterapii w skórę głowy objętą procesem łysienia androgenowego. Komórki regeneracyjne wyizolowane z naszej skóry inicjują procesy naprawcze w okolicy mieszków włosowych i pozwalają na zatrzymanie procesu łysienia oraz odrost nowych włosów. Jest to terapia naturalna gdyż komórki regeneracyjne uzyskujemy od tego samego pacjenta.



dr Marta Tazbir
KLINIKA TAZBIR
Medycyna Estetyczna
ul. Solankowa 6, Łódź
www.klinikatazbir.pl



BYŁ SEKS, JEST POLITYKA

CZAS NA WŁADZĘ W WIELKIM MIEŚCIE

Coraz więcej mi się w moim kraju nie podoba. Nie zamierzam stać i narzekać. Mówię, co myślę, a ludzie tego słuchają

Z Cynthią Nixon rozmawia Mariola Wiktor

The Wall Street Journal” wymienił panią jako kandydatkę na burmistrza Nowego Jorku w wyborach 2018.

Nie potwierdzam i nie zaprzeczam. „The Wall Street Journal” wymienił moje nazwisko, bo kilka nowojorskich środowisk liberalno-lewicowych z ramienia Partii Demokratów zgłosiło się do mnie, bym rozważyła taką propozycję. Od lat jestem aktywna politycznie. Działam na rzecz poprawienia edukacji dzieci w stanie Nowy Jork, do 2015 roku angażowałam się w sprawę zalegalizowania małżeństw jedнопłciowych we wszystkich stanach USA (co się ostatecznie udało), biorę udział w manifestacjach, wiecach i marszach przeciwko nietolerancji, rasizmowi, łamaniu praw kobiet, udzielałam się charytatywnie. Stałam się widoczną, a mój głos jest słyszalny - i takie są tego efekty. **Nie podoba się pani polityka obecnego burmistrza Andrew Cuomo?**

Nie, bo wprowadza w błąd opinię publiczną. Chwali się, że na szkoły publiczne w stanie Nowy Jork przeznacza więcej pieniędzy niż jego poprzednicy, a tymczasem to nie dotyczy szkół w biedniejszych dzielnicach. Brakuje wyrównywania szans dzieci z rodzin mniej zamożnych. Pod tym względem jesteśmy na 49. miejscu w USA po Illinois. To skandal! Sama uczyłam się w szkole publicznej i poziom nauczania był tam bardzo dobry. Moje dzieci też zapisałam do szkół publicznych i wiem, jakie tam są głębokie podziały, jeśli chodzi o dotacje.

Poza tym nie podoba mi się, choć nie mam na to wpływu, antyimigracyjna i seksistowska polityka Donalda Trumpa. Brałam udział w pierwszym Marszu Kobiet zaraz po jego wyborze na prezydenta.

W ogóle coraz więcej mi się w moim kraju nie podoba. Nie zamierzam stać i narzekać. Jestem osobą publiczną, nie boję się mówić, co myślę, a ludzie tego słuchają.

Skąd wzięło się pani polityczne i społeczne zaangażowanie?

Z osobistych doświadczeń. Jako kobiety, biseksualistki, matki, mieszkanki Nowego Jorku. To wyczerpujące na sprawy społeczne zawdzięczam tacie - był dziennikarzem radiowym i walczył o prawa człowieka, przeciwstawiał się wszelkim rodzajom rasizmu i nietolerancji. Kiedy miałam 15 lat, zagrałam w przedstawieniu teatralnym, z którego dochód przeznaczono na wsparcie stowarzyszeń popierających prawo kobiet do aborcji. Później zaczęłam się także interesować edukacją moich dzieci i niesprawiedliwym podziałem pieniędzy dla szkół. Miałam wielu przyjaciół wśród homoseksualistów i wielu z nich straciłam, bo zmarli na AIDS. Dlatego zaangażowałam się w zbieranie funduszy na walkę z tą epidemią.

Wielu osobom, także ze środowisk LGBT, naraziła się pani twierdzeniem, że biseksualizm to sprawa wyboru.

W moim przypadku jest to sprawa wyboru. Kilka lat temu dokonałam coming outu i przyznałam publicznie, że jestem w związku małżeńskim z kobietą, z którą razem wychowujemy urodzone przez nią dziecko. Wcześniej jednak byłam związana z mężczyzną, z którym mam dwoje dzieci. Rozstaliśmy się, a gdy spotkałam Christine, to się w sobie zakochałyśmy i dla mnie nie było w tym nic ani nadzwyczajnego, ani sensacyjnego. Mogłam spotkać innego mężczyznę zamiast Christine i z nim się związać, ale jestem z kobietą i to jest mój wybór. Zdaję sobie sprawę, że mówienie o wyborze oznacza, iż orientację seksualną można zmienić, i że są tacy, a dotyczy to głównie mężczyzn homoseksualnych, którzy nie mogą jej niczym innym zastąpić. Oni nie mają wyboru.

Zarzucają pani, że pani homoseksualizm jest nieszczerzy, połowiczny?

To prawda. Nie lubią mnie niektórzy geje i lesbijki, bo to dla nich rodzaj niezdecydowania, ale ja mówię w swoim imieniu. Tak jak walczę o to, by geje i lesbijki nie byli dyskryminowani, tak samo biję się o to, by biseksualistów traktować z takim samym szacunkiem

jak wszystkich innych ludzi. Zresztą czy w ogóle trzeba się z tego tłumaczyć? Ludzie w różnych okresach życia mogą z różnych powodów Ignąć do tej czy innej płci i niekoniecznie musi to być związane z seksem.

Zagrała pani niedawno Emily Dickinson, najslawniejszą poetkę Ameryki z XIX wieku, w „Cichej namietności” Terence’a Daviesa. Czy Emily była biseksualistką?

Według mnie tak, ale niekoniecznie w tym znaczeniu, jakie nadajemy dzisiaj temu terminowi, choć oczywiście film nie daje na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Emily ciężko znosiła ograniczenia swojej płci. Tę złość wylewała w pisaniu, napisała ok. 1,8 tys. wierszy. Musiała stoczyć walkę z przekonaniem, że kobiecie, zwłaszcza kobiecie z wyższej klasy średniej, nie wypada publikować poezji, a tym bardziej wierzyć, że jej wiersze są na tyle dobre, by je upowszechniać. Myślę, że czerpała siłę z postawy życiowej i inspirację z twórczości siostr Brontë i Elizabeth Browning. Poza tym była żłżyta z żoną swojego brata. Ta przyjaźń, a właściwie związek z kobietą był jej wytchnieniem. Była też silnie związana z bratem Austinem, ale on był facetem i było mu wszystko wolno, choć to ona miała bogatsze życie wewnętrzne. Dla Emily najistotniejsza była potrzeba bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem. Nie płeć, lecz pokrewieństwo emocjonalne i intelektualne. Wnioskując z jej korespondencji, była nieszcześliwie zakochana w bratowej.

W XIX-wiecznej purytańskiej Ameryce romans dwóch kobiet wywołałby skandal.

Nie podobnego! Paradoksalnie, właśnie wtedy biseksualne czy homoseksualne kobiety miały zdecydowanie więcej wolności, niż nam się wydaje. A przecież dziewczyńskie przyjaźnie także dziś bywają intensywne i bynajmniej nie muszą mieć podłoża seksualnego. Warto sobie uświadomić, że w XIX wieku bliska kobiece więź była czymś oczywistym, naturalnym i nikt nie podawał w wątpliwość jej platonicznego charakteru. To przyszło później. W XIX wieku samo wyobrażenie fizycz-

Cynthia Nixon

– aktorka teatralna i filmowa, współtwórczyni offbroadwayowskiej grupy teatralnej The Drama Dept. Sławę przyniosła jej rola rudowłosej prawniczki Mirandy w serialu „Seks w wielkim mieście”. W zeszłym roku zagrała Emily Dickinson i Nancy Reagan. Ma 51 lat, urodziła się i mieszka w Nowym Jorku





nej intymności dwóch kobiet było po prostu nierealne dla większości ówczesnych ludzi... (śmiech)

Zastanawiam się, ile z pragmatycznej prawniczki Mirandy Hobbes z „Seksu w wielkim mieście” jest w Emily Dickinson. Obie są ikonami feminizmu.

To prawda. Miranda jest dużo bardziej impulsywna, gotowa bronić swoich racji do upadłego. Emily też walczy, choć w zupełnie innym stylu. Obydwie są niesłychanie inteligentne, mają swoje zdanie i ogromne problemy z intymnością. Różnica, która rzuca się w oczy, jest taka, że dla Emily największą wartością są jej związki z rodziną, przyjaciółmi. Miranda jest z kolei dużo bardziej skoncentrowana na sobie. Emily szuka bliskości, powinowactwa dusz, podczas gdy Miranda chce przede wszystkim seksu, tak jak pragnie się zaspokojenia głodu.

A ile z Cynthii Nixon jest w Emily?

My też dziś musimy ukrywać uczucia, by nie zostać zranionymi. Terence zobaczył portret 17-letniej Emily i zaczął myśleć o wyborze aktorki. Powiedział, że między mną i Emily widzi podobieństwa. Chodziło mu o to, że Emily, tak jak ja, potrafiła wyrażać silne emocje niewerbalnie, wykorzystując mimikę twarzy. To był najpiękniejszy komplement.

Największe wyzwanie polegało na tym, że musiałam wiarygodnie pokazać postać, która była pełna miłości i ekscytacji życiem, a jednocześnie cierpiała z powodu choroby i fizycznego bólu. Gdyby Emily żyła dzisiaj, miałaby swoją wierną publiczność, której tak jej brakowało.

Podobno gdyby nie „Seks w wielkim mieście”, Terence Davies nie dałby pani tej roli?



Samantha, Carrie, Miranda i Charlotte, bohaterki „Seksu w wielkim mieście”.

Obok: Nixon jako Emily Dickinson

„Seks w wielkim mieście” to serial, który jest ciągle żywy, i to w różnych częściach świata. To fenomen. Kompletnie zmienił moje życie. Grałam w nim prawie 18 lat i jeśli będzie trzecia część, to mogę jeszcze! Wciąż, choć jestem starsza i nie mam rudych włosów, ludzie zwracają na mnie uwagę. Mam świadomość, że większość propozycji, które potem otrzymałam i teraz otrzymuję, nie byłoby możliwych, gdyby nie „Seks...”.

Według mnie uczył kobiety samoakceptacji i mówienia bez pruderii i wstydu o własnej seksualności.

Nie chcę, by zabrzmiało to jakoś pompacyjnie, ale ten serial złamał wiele tabu, wyzwolił kobiety, ośmielił je, pokazał kobiecą solidarność w trudnych dla bohaterek chwilach. Wprowadził sporo poczucia humoru, jeśli chodzi o tematy intymne. Nasze bohaterki mówiły o tym, co wiele kobiet wtedy po cichu myślało i czuło.

Sarkastyczną Mirandę Hobbes z „Seksu w wielkim mieście”, najbardziej twardo ze wszystkich przyjaciółek stąpającą po ziemi, pokochałam między innymi za jej pragmatyzm właśnie, za to, że zawsze działała według planu.

Wielu ludzi często mówiło mi, że lubią Mirandę, bo jest najmniej odjechana. Fajnie, że nie tylko ja poczułam sympatię do rudowłosej prawniczki.

Ma pani teraz dobry czas zawodowy, dużo gra, to po co pani ta polityka?

O fotel burmistrza jeszcze się nie ubiegam, ale zastanawiam się nad tym. Na aktywność społeczną zawsze znajduję czas. Dorastałam w Nowym Jorku, mama była

aktorką, a tata dziennikarzem radiowym. W naszej rodzinie przechodzenie z prywatności w zawód było dość naturalne. Kiedy i ja połknęłam bakcyli występowania przed ludźmi, mama przypominała mi tylko, bym uczesała włosy, ogarnęła się.

Lubię różnorodność. Mam na koncie role w teatrze i na ekranie u tak fenomenalnych twórców, jak Miloš Forman, Robert Altman, Sydney Lumet czy Louis Malle. Przez ostatnie lata zagrałam różne postaci. A to nie jest normą dla aktorki w Stanach, która, tak jak ja, przekroczyła pięćdziesiątkę. Zwykle kobietom w moim wieku powierza się role starej, zgorzkniałej matki czy babki. Lubię myśleć, że to nie przypadek, że tak mi się układa kariera. Wierzę, że sobie na to sama zapracowałam, bo ciągle się rozwijam, nie idę na skróty ani na łatwiznę.

Do polityki (nazwisko już pani ma, choć wiem, że to akurat przypadek) panią jedncią ciągnie. Także w kinie. Zagrała pani Nancy Reagan w filmie „Zabić Reagana”, co się zbiegło z zaprzysiężeniem Trumpa.

Tak. Nigdy nie przepadałam za Reaganiem, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość. Był prezydentem niedocenianym. A wiesz dlaczego? Bo był tylko aktorem. W dodatku nie z najwyższej półki. Jednak to właśnie jemu udało się zdobyć fotel prezydenta USA. Kontrkandydaci nie traktowali go poważnie, zresztą tak samo jak nikt niedawno nie myślał serio o biznesmenie Trumpie. W obu przypadkach zadziałał inny mechanizm. Otóż wyborcy postawili na ludzi spoza politycznego establishmentu. Nie szkodzi, że bez odpowiedniego przygotowania i doświadczenia. Ważne, że to byli kandydaci, którzy dobrze wypadali przed kamerą i mieli określone poglądy. Świetna pożywka dla populistów. I skuteczna, jak widać. ●

Nowy numer w sprzedaży



SEKS. KOCHAJ SIĘ ZE SOBĄ

Tym, którzy przychodzą do mnie z poczuciem winy, że się pieszczą, wręczam Powszechną Deklarację Praw Seksualnych WHO. Każdy ma prawo do przyjemności seksualnych, włączając zachowania autoerotyczne. Oraz prawo do prywatności, czyli sam może decydować o tym, jak ma to robić. I prawo do emocjonalnego wyrażania seksualności – tłumaczy seksuolog Andrzej Gryzewski. str. 110

NAUKA. CO NAS OGŁUPIA

Nasze podejście do snu zaczyna przypominać zaburzenia związane z jedzeniem – stajemy się sennymi bulimikami. Brak snu przez 17-19 godzin opóźnia nasze reakcje bardziej, niż gdybyśmy mieli ponad pół promila alkoholu we krwi – o tym, jak ważny jest odpoczynek, pisze Olga Woźniak. str. 114

MODA



(34)



Aktorka Maria
Gorczyńska
w szalu
z Domu Mody
Herse.
Obok: Herse
przy Marszał-
kowskiej 150
w Warszawie,
1899 r.



TEKST
DOMINIKA ŁUKOSZEK



(35)

WSZYSTKO DLA PAŃ

Tam modelką była **Stefania Grodzieńska**, tam ubierała się **Hanka Ordonówna**. Dom Mody Herse przez dekady był synonimem luksusu i najnowszej mody. Dziś powraca

wysokie obcasy + 23 GRUDNIA 2017 + wysokieobcasy.pl



mbicę naszą pokładamy w tem, aby wszystko, co z naszego Magazynu wychodzi, posiadało jakąś cechę sobie tylko właściwą i odrębną, aby suknie, kapelusze czy okrycie mówiły niejako same za siebie: To na pewno od Hersego!”

W ten sposób do zakupów w Domu Mody Bogusław Herse zachęcał katalog z 1899 roku. Ten rok był dla firmy wyjątkowy: przeniosła swoją siedzibę ze sklepu przy ulicy Senatorskiej 10 na ulicę Marszałkowską 150, do pięknej, czterokondygnacyjnej kamienicy. Ale sukces nie wziął się znikąd. Pracowali na niego od ponad trzech dekad członkowie rodziny Herse.

Rodzina

W 1868 roku dwóch przedsiębiorczych poznaniaków Bogusław Maciej Herse oraz Władysław Jerzykiewicz zawiesiło szyld „Handel Koronek i Towarów Białych” nad sklepem przy ulicy Senatorskiej 10 w stolicy. Jerzykiewicz jednak szybko opuścił firmę, a do Bogusława dołączyli jego bracia Adam Szczepan oraz Ferdynand Robert. Prężne trio szybko przekształciło sklep w Magazyn Nowości, nawiązując do francuskiego określenia „magasin de nouveautés” (sklep z nowościami). Magazyn zapewniał warszawskim elegantom dostęp do najnowszych paryskich trendów - to właśnie stolica Francji nadawała w tym okresie ton modzie. Krynoliny ustępowały właśnie miejsca turniur, sylwetka stawiała się smuklejsza, a upowszechnienie maszyn do szycia umożliwiało fantazyjne drapowania i zdobienia.

Zaledwie dekadę wcześniej niż poznaniacy swój sklep w Paryżu otworzył Charles Frederick Worth, pierwszy krawiec projektant we współczesnym znaczeniu tego słowa, który zmienił sposób patrzenia na rolę, jaką odgrywa couturier (fr. krawiec). To nie tylko zręczny rzemieślnik, który realizuje życzenia swoich klientek, ale przede wszystkim twórca zdolny do samodzielnego proponowania kreacji i zarażający swoją wizją wybredną klientelę. To podejście cechowało też założycieli Domu Mody Bogusław Herse. Konsekwentnie dostarczali wzory z Paryża, Londynu czy Wiednia, ale także tworzyli własne rozwiązania.

Bracia Herse nie mieli tradycji tekstylnych w rodzinie, ale odziedziczyli smykałkę do biznesu. Ich dziadek Gotfried Leberecht Herse był właścicielem piekarni - najpierw w Krotoszynie, później w Poznaniu. Jego syn Ernest Wilhelm był wykształconym rolnikiem i zarządcą dóbr hrabiego Seweryna Mielżyńskiego. Miał również talenty artystyczne, zajmował się rysunkiem i malarstwem.

Być może właśnie te zainteresowania spowodowały, że aż trzech jego synów postawiło na handel tekstyliami i modnymi kreacjami. Bracia wykazali się wyczuciem, zakładając sklep w Warszawie: w ciągu półwiecza poprzedzającego wybuch pierwszej wojny światowej ludność stolicy wzrosła czterokrotnie - z 220 tys. do prawie 900 tys. A u Hersego wypadało bywać.

Pierwszym prezesem firmy był Bogusław Maciej Herse. Po jego śmierci w 1880 roku stery przedsiębiorstwa przejął Adam Szczepan Herse. Postawił na szycie ubrań z najlepszych jakościowo materiałów i korzystał z pomysłów najznamienitszych paryskich domów mody. To podejście okazało się strzałem w dziesiątkę.

Adam był nie tylko zdolnym biznesmenem, ale potrafił także zjednywać sobie sympatię współpracowników. Krystyna Machlejd, teściowa Jana Hersego (syna Adama), tak go wspominała w „Sadze ulichowsko-machlejdowskiej”: „Hojny, sprawiedliwy, wnikliwy w potrzeby swego personelu, który swego szefa cenił i wprost uwielbiał”.

Krótko przed śmiercią Adama w 1915 roku, po 35 latach jego rządów, hotel prezesa zajął Bogusław Władysław, syn Bogusława Macieja, pierwszego założyciela. Był świetnie wykształcony w paryskiej L'École des Hautes Études Commerciales (wyższej szkole handlowej) i bardzo aktywny w biznesowym środowisku. Działal m.in. jako prezes Stowarzyszenia Kupców Polskich, wiceprezes Izby Przemysłowo-



Reklama krawiectwa męskiego w Domu Mody Herse, 1935 r. Pokaz jesienno-zimowej kolekcji, 1927 r. Miss Polonia 1929 Władysława Kostakówna w sukni od Hersego

-Handlowej w Warszawie i wiceprezes Izby Handlowej w Paryżu. Interes kwitł.

Sklep

Kamienicę z numerem 150 przy Marszałkowskiej zaprojektował architekt Józef Huss na specjalne zamówienie Hersego. „Wielki, wspaniały gmach kilkupiętrowy, z wieżycami na rogach ulic, stał na przestrzeni ul. Marszałkowskiej 150, gdzie była sień wejściowa i schody marmurowe, pokryte wzorzystym dywanem, i winda wiodąca do wyższych prywatnych lokali” - tak kamienicę opisywała Krystyna Machlejd w „Sadze...”.

Przy oszklonym wejściu od ulicy Marszałkowskiej stał portier, który otwierał drzwi także tym, którzy zaglądali do środka wiedzeni jedynie ciekawością. Uprzejmość obowiązywała wobec wszystkich gości. Kierując się na parterze w lewo, klient trafiał do składu tzw. towarów lokciowych (czyli materiałów sprzedawanych na lokcie), okryć i futer, które są „koniecznością w szatni każdej wytwornej damy” - jak podpowiadał katalog. Po prawej stronie można było znaleźć wszelakie dodatki: koronki, wstążki, wachlarze, parasolki i rękawiczki. Parter stanowił jedynie przedsionek do prawdziwego serca kamienicy: pierwszego piętra, gdzie mieściło się atelier, w którym powstawały toalety szczegółowo konsultowane z klientkami i gdzie prezentowano najnowsze paryskie modele.

„Dom Mody był miejscem ekskluzywnym, ale też otwartym - miejscem wolności i emancypacji. Kobieta była najważniejszą osobą dla Hersego, dbano o to, by czuła się absolutnie dopieszczona” - opowiada Jan Górski, prawnuk Adama Hersego. To było warszawskie „Wszystko dla pań” - dom handlowy jak ze słynnej powieści Emila Zoli. W sklepie kobieta przełomu wieków znajdowała dostęp nie tylko do dóbr, ale też do swobody, która do tej pory często ograniczała się do przestrzeni domu.

U Hersego zapewniało dostęp do wszelkich nowinek. „Nieprzerwane podróże do najgłośniejszych ognisk i nieustanne a czujne



P. WŁADYSŁAWA KOZŁAKÓWNA, „MISS POLONIA”.

trzymanie dłoni na pulsie mody zbliżają firmę z Paryżem, Londynem i Brukselą tak ściśle, iż nowości ostatniej doby tam i tu ukazują się w jednym i tym samym czasie” - referował „Tygodnik Ilustrowany” (1911).

Właściciele zdawali sobie sprawę, że klientkom nie wystarczy po prostu skopiowanie modelu z żurnala, bo choć każda chce być modną, to jednak rolą „specjalisty” jest dostosowanie wybranego modelu do osobowości. „Skomponować dobrze piękny kostium lub toaletę balową nie znaczy wprawdzie to samo, co skomponować dzieło sztuki, jednak bez poczucia estetycznych linii i barw, harmonii w całości, oryginalnego pomysłu w wyzyskaniu rozmaitych materiałów i skorzystaniu z zasadniczych motywów mody niepodobna rozwiązać dobrze takiego zadania” - pisano.

Modele sukien sprowadzano prosto z Paryża kilka razy do roku. Warszawskie klientki miały dzięki temu dostęp do bajkowych kreacji Wortha, Paquin, Douceta, Rouff, Raudnitz, Lebouvier i od siostr Calot. Z kolei fabryki i manufaktury współpracujące z warszawskim

domem mody produkowały modne materiały z wzorami, których nie można było kupić nigdzie indziej.

Klientkom zapewniało ogrzewane przymierzalnie, których oświetlenie pozwalało przetestować wygląd kreacji w warunkach, w których dama zamierzała się zaprezentować, na przykład podczas balu wieczorową porą. Jeśli przymierzalnia była akurat zajęta, można było sobie uprzyjemnić czas lekturą dostępnych żurnali francuskich, angielskich i polskich.

Modne damy spoza Warszawy miały natomiast możliwość zakupów listownych i otrzymania bezpłatnego projektu wraz z dołączonym do niego kosztorysem oraz próbkami materiałów. „Suknie przyjeżdżały do majątków w wielkich pudłach, a ich odpakowywanie stanowiło pretekst do spotkań towarzyskich” - opowiada Jan Górski.

Wyjątkowym pomysłem Hersego była możliwość poznania poszczególnych etapów powstawania kreacji. Klientki mogły się udać na trzecie piętro, gdzie mieściło się osiem pracowni - widnych, przewiewnych, ogrzewanych, oświetlonych światłem elektrycznym. Piętro to zajmowały szwalnie, warsztaty krawieckie i kuśnierskie.

W 1911 roku „Tygodnik Ilustrowany” wyliczył, że dla Hersego pracowało ponad 600 osób: 100 w administracji, 470 w pracowniach (400 kobiet i 70 mężczyzn) oraz około 100 zatrudnionych w pracowniach w mieście, które pracowały wyłącznie dla Domu Mody. Godziny pracy również były ustalone, standardowo pracowano od 9 rano do 7 wieczorem, ale sztab pracowników „w bardziej ożywionych sezonach (...) w razie pilnej potrzeby wykańcza też obalunki po tej godzinie, byle tylko klienteli zawodu nie zrobić”.

Sklep przetrwał pierwszą wojnę światową i w okresie międzywojennym nadal ubierał elegancką Warszawę. Kolejni prezesi dbali o reklamę, zamieszczając modele z najnowszych kolekcji na łamach takich czasopism, jak „Teatr i Życie Wytworne” czy „Tygodnik Ilustrowany”. I chociaż reklamowane w „Teatrze...” najmodniejsze rękawiczki dostępne były też u Szefnera na Marszałkowskiej 140, piękne futra - u Apfelbauma na Marszałkowskiej 125, a bracia Neumann na Bielańskiej 8 i Marszałkowskiej 138 oferowali damskie torebki, to jedynie Herse zapewniał wszystkie wyszukane towary bez konieczności przemieszczania się między sklepami. Wszystko skupione w jednym miejscu - to okazało się mantrą na XX wiek w branży odzieżowej.

MODA



**Jan Górski
i jego żona
Anna chcą
wprowadzić
150-letni Dom
Mody Herse
w XXI wiek**



Dzisiaj sklep już nie istnieje, ale możemy zajrzeć do jego wnętrza dzięki filmowi „Jego eksencja subiekt” (1933). Scena, w której klientka czeka na windę, trzymając w ręce torbę z logo Bogusław Herse subtelnie zwracała uwagę na to, gdzie ubiera się warszawska elegantka.

W archiwum rodziny Herse znajduje się film nakręcony około 1926 roku, który pokazuje pięknie zaaranżowane witryny sklepowe. W oknach wystawowych przechodnie podziwiali elegantkę na szeslongu, gotową do wyjścia, tkaniny starannie udrapowane na manekinie czy pannę młodą wyczekującą sakramentalnego „tak”. Dom Mody spełniał rolę arbitra elegancji. Jego pomysły podglądała i naśladowała konkurencja.

Klienci

Herse współpracował z najpiękniejszymi kobietami odrodzonej Polski. Władysława Kostakówna, Miss Polonia 1929, na zdjęciu opublikowanym w numerze „Teatru i Życia Wytwornego” pozowała w sukni od Hersego. Rok później tytuł najpiękniejszej Polki otrzymała Zofia Batycka, która została twarzą marki. Intuicja podpowiadała Hersemu, że choć nie każda kobieta może poszczycić się urodą miss, to każda może wystroić się jak miss - a ta ubierała się u niego.

Krystyna Machlejd pisała: „Nie było wypadku, by nie stały całe sznury aut eleganckich i prywatnych powozów, niczym przed ambasadą jaką lub ministerstwem, i godzinami wyczekiwały na panie modnie robiące się tam na »bóstwa« lub »krzyk mody«. Mężowie często cierpliwie wyczekiwali na stylowych fotelach czy kanapkach, by po zachwycie - regulować przy kasie rachunki”. A rachunki, jak dodawała, bywały słone.

W korowodzie klientek znalazły się między innymi: pani Juliuszowa Laroche, małżonka ambasadora Francji, szwedzka pani ministrowa d'Ankerswärd, pani ministrowa belgijska de L'Escaille z mężem, siostry tancerki Loda i Zizi Halama czy aktorka Hanka Ordówna. Zaglądała do Hersego także prezydentowa Maria Mościcka, hrabina Maria Potocka i pracująca u Hersego jako modelka Stefania Grodzieńska. Wpadał Bolesław Prus, malarze Edward Okuń i Teodor Axentowicz. Ten ostatni namalował dla domu mody okładkę katalogu na sezon jesienno-zimowy 1910-11.

Herse był nie tylko dla pań. Dziennik urzędowy ministra sprawiedliwości z dnia 1 czerwca 1921 roku w piśmie dotyczącym „dostarczania odznak dla sędziów i urzędników wymiaru sprawiedliwości” stwierdzał, iż zapewnienie szarfi i rozet przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości leżało w gestii firmy Bogusława Hersego. Produkcją emblematów do rozet zajmował się zakład artystyczno-grawerski Stanisława Lipczyńskiego sąsiadujący z domem mody. Wstęgi zielone z zieloną rozetą o białej wypustce przysługiwały sędziom Sądu Najwyższego, prokuratorzy przy Sądzie Najwyższym nosili wstęgi w kolorze ciemno-amarantowym z zieloną wypustką, ozdobione zieloną rozetą z białą

wypustką. Herse oferował także mundury dyplomatyczne, mundury szambelanów papieskich i mundury oficerów marynarki - były specjalnością działu męskiego. Elegancki pan mógł też u Hersego kupić na przykład płaszcz Burberry, koszulę, krawat, rękawiczki i laseczkę.

Herse dzisiaj

W połowie lat 30. kryzys ekonomiczny zabrał klientów także Hersemu. Do tego wskutek spięć w instalacji kamienicy, w której mieścił się sklep, dotknęła seria pożarów.

W 1936 roku Dom Mody Bogusław Herse zakończył działalność, a kamienica została sprzedana.

„Podczas wojny Tadeusz Herse starał się o otwarcie nowej siedziby na ulicy Królewskiej, z ograniczonym przez wojenne czasy asortymentem, ale niestety, to przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem” - wspomina Jan Górski.

Próby reaktywacji po wojnie się nie powiodły: luksus, jakość i przedwojenna elegancja nie były mile widziane w socjalistycznej rzeczywistości. Marka Herse została zapomniana na ponad 60 lat.

W ostatnich latach w świecie mody odbyły się wielkie powroty dawnych marek - weźmy chociażby paryskie Vionnet czy Schiaparelli. Potomkowie pierwszych założycieli Domu Mody Bogusław Herse też postanowili dać marce kolejną szansę.

W 2013 roku Jan Górski wspólnie z żoną Anną zdecydowali się na reaktywację firmy. Na razie sygnowane metką „Herse” są jedwabne i jedwabno-welne szale, krawaty i poszetki - rodzaj wizytówek zapowiadających większe przedsięwzięcie. Można je kupić w siedzibie firmy, w kamienicy przy ulicy Filtrowej 65/51 i w internecie.

Obecnie Fundacja Dom Mody Bogusław Herse poszukuje przedmiotów, fotografii i opowieści związanych z firmą. Suknie z metką sygnowaną tym nazwiskiem są trudne do odnalezienia. Wiele kobiet postępowało tak jak babcia samego Jana Górskiego w siermiężnych latach socjalizmu - przerabiała stare suknie na nowe kreacje. - Jedna z sukni znajdujących się w zbiorach pochodzi z balu maturalnego młodej dziewczyny - miała ją na sobie, podobnie jak jej mama na swoim balu, ale pokolenie wcześniej. Mama z kolei otrzymała tę suknię od siostry swojej babci, dla której uszyto ją właśnie w Domu Mody Bogusław Herse - opowiada Jan Górski. I dodaje, że choć listy zostały dziś zastąpione przez zamówienia online, wciąż aktualne pozostaje credo Hersego z katalogu z 1899 roku:

„Ufni w powodzenie każdej uczciwej pracy z fachową znajomością, sumiennie a gorliwie spełnianej, żywimy niepłodną nadzieję, że i na nowej siedzibie nie tylko zachowamy, ale i zdobędziemy jeszcze większe względy dotychczasowej i przyszłej klienteli naszej, tak miejscowej, jak zamiejscowej, która zaszczycać nas nadal zechce swym zaufaniem”. ●

JUŻ ZA TYDZIEŃ **5 OKŁADEK** WYSOKICH OBCASÓW

50 ŚMIAŁYCH 2017

KOBIETY, KTÓRE
ZMIENIAJĄ ŚWIAT
NA LEPSZE



Wybierz swoją lub zbierz wszystkie

STARO, JARO

Przedrostek „anty” sugeruje, że ze starzeniem się trzeba walczyć. Tak jak spraye przeciwgrzybiczne walczą z grzybicą. A wiek to nie choroba



TEKST
IDA ŚWIERKOCKA

To jedyna okładka w tym miesiącu, która w ogóle się liczy. Dziękuję za nią” – napisała jedna z internetek w komentarzach pod tegorocznym wrześniowym wydaniem „Allure” z Helen Mirren. Aktorka została gwiazdą jednego z najpopularniejszych magazynów o urodzie w Wielkiej Brytanii. Sesji i rozmowie z Mirren towarzyszył mocny manifest redaktorki naczelnej pisma Michelle Lee. We wstępniku zapewniła czytelników, że od wrześniowego numeru ani w piśmie, ani na jego stronie internetowej nie będą się pojawiały opresyjne materiały nakazujące kobietom walkę z upływem czasu, a formuła „anti-ageing” (antystarzeniowe) zostanie zastąpiona słowem „ageing” (starzenie się).

Skąd pomysł na zmianę? „Przedrostek »anty« sugeruje, że ze starzeniem się trzeba walczyć, tak jak programy antywirusowe walczą z wirusami komputerowymi”. Lee zaprotestowała przeciwko nadmiernemu kultowi młodości. „Gdy komplementuje się kobietę powyżej 40. r.ż., ludzie często powtarzają: »Wygląda świetnie jak na swój wiek«. Stawiamy młodzież na piedestale, ale czy to oznacza, że z upływem lat stajemy się ohydni?” – pytała redaktorka.

Mirren tym samym stała się nieformalną przywódczynią ruchu anti-anti-ageing.

To nie moja twarz, to nie ja

To był naturalny wybór. Helen Mirren już wiele lat temu dała się poznać jako przeciwniczka angażowania do reklam modelek, które nie są adekwatne do reklamowych produktów. „Widok 15- i 16-latek w kampaniach produktów dla kobiet dojrzałych doprowadzał mnie do furii” – mówiła aktorka w jednym z wywiadów.

Kiedy w 2014 r. L'Oréal Paris zaproponował jej bycie twarzą marki, Helen propozycję przyjęła, postawiła jednak konkretny warunek. Po pierwsze – brak retuszu. A jeśli już, to naprawdę minimalny. „Nie chciałam oglądać swojej zbyt gładkiej twarzy, której nie jestem w stanie rozpoznać. Byłam już



przerabiana na plakatach filmowych. Gdy je oglądałam, myślałam: cóż, wszystko w porządku, wyglądam świetnie, ale przecież to nie ja” – powiedziała Helen w jednym z wywiadów. Po drugie – nazwa. Mirren sprzeciwiała się użyciu formuły „anti-ageing”. „Wszyscy wiemy, że się starzejemy, to naturalne i nie da się tego zatrzymać. Nie dajmy się oszukiwać” – mówiła. Została twarzą linii Age Perfect. Bo „perfect” można być w każdym wieku!

Odmladzanie 25-latek

„Kobiety podlegają surowszym niż mężczyźni ocenom co do wyglądu i zachowania. Często słyszymy, że »w tym wieku to już nie wypada«. Gdy czytam w sieci komentarze na temat dojrzałych pań, np. że są obwisłe czy pomarszczone, dostaję szału” – mówi Ela Hübner, autorka bloga fajna-baba-nie-rdziejcie.pl adresowanego do kobiet, które w każdym wieku czują się młode, choćby duchem, i pragną czerpać garściami ze swojego doświadczenia i dojrzałości.

Świat bardzo potrzebuje zmian. Gdy w październiku tego roku brytyjska supermodelka Cara Delevingne została twarzą kosmetyków Capture Youth marki Dior mających pomóc w zatrzymaniu procesu starzenia się skóry, w sieci zawrzało. „Świetny wybór! Cara jest przecież dojrzałą kobietą i ma mnóstwo zmarszczek” – podsumował jeden z komentujących. Inna internautka pisała: „To musi być doskonały produkt, aż trudno uwierzyć, że Cara w rzeczywistości ma 53 lata”.

Nie kryto zażenowania tym, że do reklamy kosmetyków przeciwzmarszczkowych zaproszono 25-letnią modelkę. Francuski dom mo-



PIELĘGNACJA CERY DOJRZAŁEJ

Ideal Beauty, Soraya, złoty krem-esencja na dzień do cery zmęczonej z wyciągiem z róży, 50 ml/22,99 zł; Golden Ceramides, AA, serum złoty eliksir młodości z ceramidami, 15 ml/38 zł; Lift, Bielenda, krem na dzień 50+ z peptydami i witaminami C i E, 50 ml/21 zł; Gold Philosophy, Bandi, serum korygujące z peptydami, 30 ml/115 zł; Przeciwzmarszczkowy rewitalizujący krem na dzień SPF 15 55+ z olejkami arganowym i wapniem, Nivea, 50 ml/19,90 zł; Fortissimo 45+, Dr Irena Eris, krem nawilżająco-liftingujący z witaminą C i polisacharydami, 50 ml/89 zł

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (15)

dy został zalany negatywnymi komentarzami, w tym hashtagiem #thatsnotme, czyli #tonieja, gdy jedna z internautek szczerze napisała: „Piękna Cara ma 25 lat. Mam 51 lat i to ja jestem waszą grupą docelową. To krem na zmarszczki. To nie fair - w stosunku do niej i do mnie”.

I choć rzecznicy marki próbowali tłumaczyć, że krem przeznaczony jest dla kobiet od 30. r.ż., to przecież Cara nie tylko nie ma jeszcze 30 lat, ale też wygląda na mniej - zwłaszcza na poddanym obróbce graficznej zdjęciu z kampanii Diora. Internauci i eksperci od wizerunku byli tym razem wyjątkowi zgodni - pokazanie w reklamie kremów przeciwzmarszczkowych wyphotoshopowanej 25-latki było strzałem w kolano.

Na szczęście w świecie urody widać też odwrotny trend - dążenie do realizmu.

Wiek to nie choroba

Rozkwit segmentu kosmetyków anti-ageing przypadł na lata 80. XX w. Już wtedy feministki (np. Naomi Wolf w głośnym „Micie urody” z 1990 r.) protestowały przeciwko użyciu przez firmy kosmetyczne formułek typu „ten krem pozwoli zatrzymać czas”. Bo czy tego chcemy, czy nie - mimo „odkrycia mechanizmów molekularnych kontrolujących rytm dobowy” (Amerykanin Michael W. Young dostał w tym roku za to Nagrodę Nobla z medycyny) - upływu czasu nie da się zatrzymać.

Jane Cunningham, autorka popularnego bloga o urodzie i kosmetykach britishbeauty-blogger.com, dawno przestała używać terminu „anti-ageing”. „Traktowanie wieku jako czegoś, co wymaga leczenia, jest bezsensowne i krzywdzące. Uwielbiam marki, które celebrytów w każdym wieku. Piękno nie jest jednoznaczne, ma wiele twarzy” - twierdzi Jane.

Pozytywna rewolucja już się zaczęła. Vicci Bentley, brytyjska dziennikarka (na Instagramie przedstawia się jako „sexagenarian beauty writer”, czyli „ponad 60-letnia dziennikarka urodowa”), podkreśla, że czas zacząć się skupiać na rzeczywistych problemach skóry, a więc np. zmarszczkach, braku jędrności czy blasku, a nie na niereal-



KAWIOR, ZŁOTO, PEPTYDY

Perform Lift Vitality, Payot, krem na dzień z peptydami, kwasem hialuronowym, 50 ml/338 zł; Royal Caviar Therapy, Eveline, odżywcze serum-ampulka z kawiozem, ekstraktem z czarnej orchidei, retinolem, 18 ml/30 zł; NovAge, Time Restore, Oriflame, multikorekcyjny krem na dzień z SPF 15, ekstraktem z komórek macierzystych babki lancetowatej, kwasem hialuronowym, 50 ml/139,90 zł; Sérénage, Avene, krem na dzień z glikolem i kwasem hialuronowym, 40 ml/139 zł; Krem Witaminy Tiusty, Ziaja, 50 ml/4,99 zł; Mgienka do twarzy i ciała ze złotem monojonowym, InVex Remedies, nawilża, ujędnia skórę, 200 ml/105 zł

DOBRO Z ROŚLIN

Przeciwzmarszczkowy eliksir do twarzy z ekstraktem z miorzębów japońskiego, lukrecji, Vianek, 30 ml/36 zł; Premier Cru, Le Sérüm, Caudalie, zawiera polifenole z pestek winogron, resweratrol z winorośli i winiferynę, 30 ml/396,50 zł



nych celach (np. byciu młodszą o 15 lat), które są niemożliwe do osiągnięcia bez ingerencji chirurga plastycznego. „Proszę bardzo! Możesz używać wszystkich kosmetyków świata, ale rób to dla siebie, a nie po to, by sprostać wymaganiom tego świata, zupełnie nierealnym” - trafnie napisała jedna z komentujących akcję na Instagramie.

Na półkach zamiast „cudownych” i „magicznych” kremów anti-ageing mamy dziś coraz więcej produktów, których nazwy niosą ze sobą pozytywny przekaz. Oprócz wspomnianego już Age Perfect L'Oréal są to np. linie Pro Age marki Dove, Age-Defying Olay, Clever Age Nivea czy Slow Age Vichy. Także marki kosmetyków luksusowych powoli zaczynają rezygnować z użycia formuły „anti-ageing”. Dior, choć ma na koncie kompromitującą wpadkę, jest też twórcą serii kosmetyków dla kobiet dojrzałych Dreamskin, czyli „wymarzona skóra”.

Dość standardów i wymogów

To nie pierwszy raz, gdy magazyny dla kobiet protestują przeciwko używaniu opresyjnych fraz. Tak było np. ze sformulowaniem „ciało gotowe na plażę”, sugerującym, że pojawienie się na plaży wymaga spełnienia jakichś określonych standardów - oczywiście tych opartych na „jedynej słusznej”, czytając: męskiej, narracji. W minione wakacje dziennikarki i czytelniczki „Wysokich Obcasów” publikowały na Instagramie (z hashtagami #ciałogotowenaplażę, #ciałopozytywne) zdjęcia, na których były w kostiumach kąpielowych - prawdziwe, niewyphotoshopowane, różne, o ciałach nie zawsze doskonałych i właśnie dzięki temu pięknych. Akcja miała na celu walkę z kulturową presją, według której kobiety muszą wyglądać zgodnie z narzuconym wzorcem.

Alé przecież nie tylko o semantykę tu chodzi. „Nietrudno zmienić marketing i opakowania. Stoi przed nami inne wyzwanie: zmiana sposobu myślenia o upływającym czasie. Zacznijmy wreszcie świętować piękno w każdym wieku” - zakończyła swój wstępniak Michelle Lee z „Allure”.

„Warto nauczyć się doceniać małe przyjemności, ulotne chwile, bo to właśnie z nich składa się życie. Pogodna twarz to piękna twarz. Mimo zmarszczek” - przekonuje Ela Hübner. ●



BUTIK URODA

ZŁOTKA

Karuzela w płomieniach, paproć we flakonie, podkład „druga skóra”, ciało z połyskiem, serum z 21 wyciągami z roślin



1. White Tea, Elizabeth Arden, drzewno-kwiatowa EDT: mandarynka, szalwia muskatolowa, paproć, w sercu: biała herbata, yerba mate, biały irys; w głębi: ambra, piżmo syntetyczne, tonka, akord drzewny. 50 ml/**119,90 zł** (Superpharm.pl) **2. 10th Anniversary Absolu de Parfum, Chloé**, drzewno-kwiatowa EDP: róża damasceńska, róża stulistna z Grasse, absolut wanilii, paczula. 50 ml/**389 zł** (edycja limitowana z okazji 10. rocznicy powstania linii) **3. Double Serum, Clarins**, intensywna dwufazowa pielęgnacja przeciwstarzeniowa z 21 ekstraktami roślinnymi, m.in. kurkumę, komosę ryżową, zieloną herbatę, zielonym bananem, wyciągiem z sosny. 30 ml/**319 zł** (Sephora.pl, Clarins.pl) **4. Sublime Nature Tonka Bean, Oriflame**, orientalno-kwiatowe perfumy: czarna porzeczka, jaśmin, w sercu tonka (nowatorska ekstrakcja), heliotrop, magnolia; w głębi: paczula, wanilia, białe piżmo. 50 ml/**159,90 zł** **5. Constellation Carrousel Feu de Bois, Diptyque**, karuzela ze świeczką, której płomień wprowadza w ruch złote zawieszki, tworząc grę cieni. Zestaw z 2 świeczkami (70 g)/**420 zł** (Gallus.pl) **6. Revitalizing Supreme+, Estée Lauder**, odżywczy, wielofunkcyjny balsam pod oczy z wyciągiem z kwiatu morskiej lawendy, przeciwutleniaczami. Ujędnia, rozświetla, spłyca optycznie kurze łapki, cienie. 15 ml/**275 zł** **7. Flawless Fusion, Laura Mercier**, beztluszczowy podkład typu „druga skóra” (lekka formuła). Matuje, trwa do 15 godzin, odporny na wodę, pot i wilgoć. 30 ml/**219 zł** **8. Metallizer AA Wings of Color, Oceanic**, długotrwałe kremowe cienie na bazie wody, o metalicznym połysku – na powieki, usta i ciało. 10 ml/**25 zł**

PIĘKNY WYGLĄD W KAŻDYM WIEKU?

*z olejkami młodości
to proste!*



NOWOŚĆ

PRZECIWMARSZCZKOWA LINIA NIVEA Z OLEJKAMI MŁODOŚCI
IDEALNIE DOBRANA PIELĘGNACJA ZAPEWNIĄ DOKŁADNIE TO, CZEGO
NAJBARDZIEJ POTRZEBUJESZ, BY WYGLĄDAĆ PIĘKNIE: **1.** 24H NAWILŻENIA
2. SKUTECZNĄ REDUKCJĘ ZMARSZCZEK **3.** OCHRONĘ UVA/UVB.

MĘSKA KOŃCÓWKA



JUTRO UGOTUJCIE KALAFIOROWĄ

ZDJĘCIA
**MATEUSZ
SKWARCZEK**

(44) Chodźcie, zjemy razem: bezdomni, domni, pachnący, śmierdzący, czysti i brudni

Z **Błażem Strzelczykiem** i **Piotrem Żyłką**, inicjatorami akcji „Zupa na Plantach”, rozmawiają **Maria Hawranek** i **Szymon Opryszek**

Umiecie gotować?
BŁAŻEJ: A skąd!
To jak się robi smaczną zupę dla 200 osób? Meksykańską, curry, leczo?

BŁAŻEJ: Mało trzeba wody nalać, bo jak potem wejdzie wkład, to wszystko bardzo się podnosi. Mamy dwa gary po 30 litrów.

PIOTR: 30? Nie 60? No dwa takie gary ogromne. Najpierw idzie mięso, a potem inne składniki. W tygodniu dziewczyny, które wymyślają przepisy, wrzucają na zamkniętą grupę na Facebooku dokument Google'a z potrzebными składnikami i ich ilością - ile kilo-

gramów mięsa, marchewek, ziemniaków. Dzięki temu wiadomo, co kto przynosi.

I co dalej?

PIOTR: W niedzielę o godz. 15 wolontariusze przynoszą składniki do ŻyWej Pracowni, pod okiem osoby odpowiedzialnej za gar szatkują, mieszają, przyprawiają. O godz. 17.30 przelewamy zupę do termosów i jedziemy na Planty nieopodal Teatru Słowackiego.

Żeby podać ją bezdomnym.

BŁAŻEJ: Nie! Żeby ją wspólnie zjeść. My nie dokarmiamy osób bezdomnych. Tylko zapraszamy: „Chodźcie, zjemy razem: bezdomni, domni, pachnący, śmierdzący, czysti i brudni”.

Dolączają studenci, turyści. Nie ma warunków wstępnych - że jak pijany, to nie dostanie miski. Mówimy: „Spróbuj za tydzień taki nie być”.

Działają?

PIOTR: Nie od razu. Ale za drugim czy piątym razem niektórzy przychodzą wcięci trochę mniej. Małymi krokami buduje się między nami relacja, dzięki której powoli pojawia się w nich poczucie godności niezbędne do tego, by chociaż spróbować nie pić. Bo w wykluczeniu najbardziej chodzi o samotność. I o to, że oni sobie z nią nie potrafią poradzić. To, że wysłę kogoś na odwyk i dam pracę, nic nie da. To nie jest rozwiązanie. Oni są do nas bardzo



Wolontariusze przynoszą składniki, gotują zupę, a o 17.30 przelewają ją do termosów i idą na Planty

podobni. Więc pomyślmy: kiedy w moim życiu zawaliliby się wszystko - relacje, poczucie bezpieczeństwa - i byłbym w depresji, to pomogłaby mi robota, nawet taka za 10 tys. zł?

A miska zupy już tak?

Piotr: Jedna miska nie. Ale podawana regularnie, tydzień w tydzień, w tym samym miejscu, wspólne jedzenie, rozmowy stwarzają poczucie bezpieczeństwa. Człowiek zaczyna czuć się potrzebny. Jeśli osoba, która do nas przychodzi, pójdzie na odwyk, to wie, że nie jest sama. Tyle jesteśmy w stanie zrobić. Wiemy, że każdemu nie uda się kompleksowo pomóc. Dlatego błagam, nie pytajcie, ilu ludzi udało nam się wyciągnąć z bezdomności.

Ilu?

Błażej: To jest w ogóle źle postawione pytanie! Ostatnio pan Jerzy, na wózku, z bardzo opuchniętymi nogami, miał jechać do Warszawy. Nie chciał się wykapać. Jak ludzie się rozbierają, to muszą pozbyć się wszystkiego, co mają: opróżniają kieszenie, ściągają ubranie, które trzeba wyrzucić do kosza, bo jest zarobaczone. W Krakowie jest jedna łazienka dla bezdomnych, trzeba się zapisać i czekać dwa-trzy dni. Pan Jerzy ostatecznie dał się namówić na kąpiel. Na koniec dostał od brata Piotra ze Smoleńska nowy zegarek, radio i telefon komórkowy - to ważne, bo rzeczy też budują poczucie godności. Całe pięć godzin drogi do Warszawy mówił tylko o tym i jeszcze - że po raz pierwszy od miesięcy będzie spał w łóż-

ku, a nie na siedząco na Plantach. Sukces to nie jest od razu wyjście z bezdomności. Sukcesem jest to, że pan Jerzy poszedł się wykapać. **Albo że Kamil zostawił w końcu plecak i zagrał z wami w piłkę?**

Błażej: Widzieliście „Boisko bezdomnych”? Tam jest taki profesor, który ma teczkę i cały czas z tą teczką biega. Kamil w swoim plecaku miał kłamekę, czyli klucz do altanki działkowej, kilka butelek piwa, zdjęcia rodziny, szczoteczkę i pastę do zębów. I biegał z tym niemal przez cały mecz. Żartowaliśmy: „Weź zostaw, nikt ci tego nie weźmie”. W końcu w ferworze rywalizacji piłkarskiej poczuł się swobodnie i zapomniał o plecaku. Piłka powoduje, że zapominasz, skąd jesteś, dokąd wrócisz, czy się wykąpiesz, i nagle walczysz - musisz wygrać!

Wystarczy piłka?

Piotr: I oswojona przez „Zupę” przestrzeń, w której pojawiają się od kilku miesięcy ci sami ludzie. My mamy miejsce, gdzie możemy odpocząć. A oni zawsze czuwają. Bo ktoś ich może przegonić, pobić.

Skąd się wzięliście?

Piotr: O to najczęściej pytają nasze „orły”. Są autentycznie poruszeni, bo wiedzą, że każdy z nas na co dzień pracuje albo studiuje i przychodzimy do nich w wolnym czasie. „Zupa na Plantach” to grupa ludzi, którzy postanowili, że chcą poznać bezdomnych, próbować zrozumieć, dlaczego są tu, gdzie są, i oddać im

trochę swojego czasu. Na co dzień mamy inne zajęcia - ja np. jestem redaktorem naczelnym jezuickiego portalu Deon.pl.

Błażej: Ja od czterech lat pracuję w „Tygodniku Powszechnym”.

Kto zrzuca się na zupę?

Błażej: Wolontariusze. Współpracujemy też m.in. z Bankiem Żywności, który przekazuje nam czasem produkty z krakowskich sklepów. Podnosimy także rangę, jak my to nazywamy, „potrzebnych resztek”. Z tego, co ludziom zostaje ze stołów, a rolnikom z pól, da się ugotować całkiem dobrą zupę.

Jeśli nie wyciągacie ludzi z bezdomności, to na czym polega wasza rola?

Błażej: Jesteśmy łącznikami między ulicą a instytucjami, które mogą pomóc. Jak trzeba, to gasimy pożary. Wsiadamy w samochód, który dostaliśmy w styczniu od siostry Małgorzaty Chmielewskiej - jak zobaczyła, że wozimy zupę na rowerach cargo, to stuknęła się w głowę: „Artyści z Krakowa wzięli się za pomaganie bezdomnym”, i w tydzień nam go zorganizowała. Jeździmy nim do szpitala, wykapać „orłów” na Smoleńsk, na detoks w Kobierzynie, do wspólnoty Chleb Życia w Warszawie. Raz w tygodniu objeżdżamy pustostany: wpadamy z apteczką i towarzyską wizytą - herbatka, kawka. I nie jest tak, że sukcesów brak. Kilka miesięcy temu dostałem telefon z Pomorza od gościa, którego nawet nie pamiętałem: „Jadłem kiedyś zupę

(45)

na Plantach, chciałbym dostać wasz KRS, żeby coś wpłacić”.

PIOTR: Michał, który jeszcze w sylwestra był bezdomny, pozbił się, teraz z nami gotuje. Zaczął funkcjonować poza wykluczeniem. „Orły” wychodzą z ulicy nie dlatego, że ktoś poprowadzi ich za rączkę, tylko dlatego, że widzą, że można żyć inaczej. Z ulicy wychodzi się dla relacji, miłości, nadziei na normalne jutro. Patrzą na naszych wolontariuszy i w ich głowie czasem pojawia się myśl: oni chyba są szczęśliwi, może i ja spróbuję? My mieliśmy tak samo z siostrą Małgorzatą. To jest kobieta, która po naszymu „miastowemu” nie ma nic. A jest bardziej szczęśliwa i wolna niż większość ludzi żyjących w wielkich miastach i niemających czasu na chwilę się zatrzymać.

To siostra wam tak namieszała w głowach, że wzięliście się do gotowania.

PIOTR: Pojechaliśmy do niej na dwa tygodnie, żeby nagrać rozmowy do książki „Sposób na (cholernie) szczęśliwe życie”. I zobaczyliśmy zupełnie inną rzeczywistość. Od lat mieszka z wykluczonymi pod jednym dachem, adoptowała też ciężko chorego chłopca. Całe życie poświęciła na pomoc bezdomnym, od 30 lat mieszka z niepełnosprawnym chłopakiem. Dla większości ludzi to bez sensu. A ona ich wszystkich kocha na zabój. Ta wizyta nas przeorała. Po powrocie usiedliśmy z Błażem na piwie na Stolarskiej i stwierdziliśmy: nie ma odwrotu. Już nie da się siedzieć w ciepłym domu i udawać, że wszystko jest OK. Od dawna interesowaliśmy się dziennikarsko tematami wykluczenia, ale ileż można, z przeproszeniem, pieprzyć, że trzeba być jak brat Albert, papież Franciszek czy Chmielewska, a samemu nie robić nic?

BŁĄŻEJ: Zrozumieliśmy, że nie możemy być obojętni. Że bezdomnych się mija, że prowokują tym, że leżą, cuchną, i trzeba się nimi w końcu zainteresować.

Kto wymyślił „Zupę”?

BŁĄŻEJ: Bezdomni. Raz paliliśmy z nimi na Plantach papierosy - to w ogóle kluczowy element pracy z wykluczonymi, od razu otwiera. Jeden z nich wyciągnął słoiki z zupką chińską, poszli ją zalać do restauracji, połamali kabanosa, dorzucili kostkę rosółową. Podpowiedzieli nam: coś byśmy zjedli.

A co było przed siostrą?

PIOTR: Najpierw - obojętność. Jak przyjechałem do Krakowa do liceum i zamieszkałem na Grodzkiej, bezdomni mnie irytowali. Śmierdzieli mi w barze mlecznym i wkurzali, że muszę im dać złotówkę, żeby się odczepili.

Pierwszy raz świadomie wyszedłem na spotkanie osoby bezdomnej zimą 2015 roku. Były wielkie mrozy, z kolegami z redakcji postanowiliśmy poszukać osób potrzebujących pomocy. Ktoś nam powiedział, żeby szukać na jednej z bocznic kolejowych. Spalony wagon, a w środku słychać, że jest człowiek. By-



„Zupa na Plantach”

– wspólne gotowanie i spożywanie zupy z osobami bezdomnymi, inicjatywa Błażeja Strzelczyka (po lewej), dziennikarza „Tygodnika Powszechnego”, i Piotra Żyłki, redaktora naczelny katolickiego portalu Deon.pl, do których dołączyło 200 wolontariuszy w Krakowie i dziesiątki w innych miastach, każdy pod swoim szyldem: „Zupa na Monciaku”, „Zupa na placu”, „Zupa wolności”, „Zupa na Równi”. Chętnie podpowiedzą zainteresowanym, jak rozkręcić akcję we własnym mieście. Kontakt: facebook.com/ZupaNaPlantach

łem wstrząśnięty - bo to piorunsko inteligentny gość, wykształcony, 20 lat temu działał w instytucji wspierającej bezdomnych. Tylko wszystko mu się posypało. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, jak cienka oddziela nas granica. Widziałem siebie, tylko trochę starszego, z tragedią po drodze.

PIOTR: Wszedłem jak do muzeum, zobaczyłem, wzruszyłem się i nic za tym nie poszło. Następny raz wyszedłem do bezdomnych dopiero rok później. Dojrzewanie do działania odbywa się etapami. To normalne. Wyjście do innych zawsze wiąże się z lękiem i trzeba czasu, żeby go przełamać. U siostry Chmielewskiej byliśmy w lutym 2016 i musieliśmy w nas to popracować aż do listopada.

BŁĄŻEJ: Wiecie, pytanie o impuls to pytanie o nas. Często je słyszymy. A to zenujące w tym kontekście. Bo my chcemy mówić o innych. Choć pewnie i tak będziemy przez następną godzinę gadać wyłącznie o sobie, tyle w nas narcyzmu i egoizmu.

A...

PIOTR: Poczekajcie, tylko dopowiem. Każde wyjście do bezdomnych to jest próba wyrwania się siłą z tego egoizmu. Ani to proste, ani przyjemne - wchodzimy w świat nałogów, dramatów, kryminału, chorób psychicznych. To nas obciąża - w grupie mamy kryzysy, które musimy przegadywać, czasem ktoś opuszcza kilka niedziel. Ale jak już się z tego egoizmu wyrwiemy, to czujemy, że te doświadczenia, choć trudne, są też prawdziwe i przez to piękne. I dają siłę, by wyrwać się kolejny raz.

Bo, jak głosi wasz ulubiony hashtag, #Ludzie są dobrzy?

PIOTR: Niesamowicie! „Zupa” pokazała, że jest ich mnóstwo, potrzeba tylko kogoś, kto naciśnie przycisk, zrobi przestrzeń do wspólnego działania, i wtedy się pojawiają dobrzy ludzie.

BŁĄŻEJ: I piękni! Mamy w „Zupie” 300 wolontariuszy, na gotowanie przychodzi 30-50 i jak na nich patrzę, to myślę: chcę żyć jak oni. Bo są zaangażowani, bo im się chce. Przyjechać na dwie godziny z Poznania, jak Asia, żeby podpatrzeć know-how „Zupy” i za dwa tygodnie ruszyć z nią u siebie w mieście.

PIOTR: Albo myć stopy bezdomnym jak Dorota w Sopocie. Stopy!

BŁĄŻEJ: A wiecie, jak wygląda stopa bezdomnego? Jest przegniła, cuchnąca - bo skarpet nie ściągają przez cztery miesiące - opuchnięta, głównie od picia alkoholu przemysłowego, tzw. Fl6. Piszemy o tych ludziach na Facebooku, bo dobre historie dobrze nas karmią.

No to nakarmcie nas jeszcze trochę.

BŁĄŻEJ: Natalia, która przychodzi z synem z kanapkami co dwa tygodnie i nie chce, żeby o niej pisać. Po moim poście na Facebooku poprosiła: „Przestań karmić moją próżność”. Jej dziewięcioletek podchodzi do chłopaków i pyta: „Zagrasz?”. Organizuje zespoły na mecz.

PIOTR: Małgosia i Magda, które od pierwszej „Zupy” przynoszą domowe chleby. Mają swoje prace, rodziny, małe dzieci. Najpierw piekły po jednym, teraz przynoszą 12. Ostatnio upiekły też megaszarlotkę, ciasto czekoladowe i brownie z truskawkami.

Albo małżeństwo z Nowej Huty - Jacek i Małgosia. Też przychodzą od samego początku. Ciężko pracują na co dzień. Jacek to już nawet siwy jest. Małgosia jest jedną z naszych głównych kuchmistrzyń. Jacek często wozi swoim samochodem termosy na Planty. Zarazili „Zupą” także swoje córki, które teraz przychodzą regularnie. Albo dwóch głuchoniewidomych chłopaków, którzy z pomocą wolontariuszy kilka razy byli na Plantach z własnoręcznie upieczonymi ciastami. Czujecie to? Głuchoniewidomi pięką dla bezdomnych!

A Zuzia?

PIOTR: Ma siedem lat. Raz na rynku w Pucku, gdzie mieszka, była zbiórka na hospicjum ks. Kaczkowskiego. Poprosiła mamę: „Zostańmy wolontariuszkami”. Kilka miesięcy temu jechałem pociągiem z Pucka do Trójmiasta, podeszła do mnie, pogadaliśmy. Następnego dnia dzwoni jej mama i mówi, że jak poczytała Zuzi o tym, co robimy w Krakowie, to ona rozbiła skarbonkę i powiedziała, że chce ufundować jedną zupę. Siedmioletnia dziewczynka oddała swoje oszczędności dla wykluczonych! Następnego dnia przyszedł przelew i list. Kiedy później byłem w hospicjum, zapytałem: „Co mam ugotować w Krakowie?”. Odpowiedziała: „Kalafiorową”. I znowu następnego dnia dzwoni jej mama: „Zuzia wymyśliła,

że nakręci filmik, żeby zachęcić ludzi do gotowania kalafiorowej”. Oczywiście ją ugostowaliśmy.

Boska dziewczynka.

Piotr: Nie mam słów.

Kłóćcie się o coś z „ortami”?

BŁAŻEJ: Niemożliwie nas wkurwiają. Na przykład kiedy 20. raz podejmujesz próbę jechania na detoks, gdzie na wejściu trzeba mieć 0,0 promila. I za 20. razem „orzel” ma 0,3. Nasze bycie z wykluczonymi nie jest nagrodą za to, że są czysti i nie piją alkoholu, ani nie jest inwestowaniem w nich – dam ci zupełną, jak będziesz wierzył w mojego Boga i głosował na moją partię. To dawanie, bo ktoś nie zasłużył.

Piotr: Chociaż jesteśmy z Błażem katolikami, to „Zupa” jest otwarta dla wszystkich – współtworzą ją również ateści, a nawet antyklerykalowie. Ostatnio byli mormoni i pastafarianin.

Co jest potrzebne na taki „zupowy” start-up?

BŁAŻEJ: Garnek, palnik, termos, kilka warzyw, udko z kurczaka albo nóżki i dobre chęci. No i co najmniej dwie osoby.

Bo?

Piotr: Nie można być samemu. Bezdumni to ludzie trudni, zniszczeni przez alkohol, choroby psychiczne, bywają nieprzewidywalni. Obie strony się boją – i my wyjść do nich, i oni rozmawiać z nami. Jak pierwszy raz do-

siadłem się do bezdomnego na Plantach i zapytałem: „Potrzebuje pan czegoś?”. Wypalił: „Idźże stąd”. A później: „Nie przeszkadzaj mi, piszę jazz” – jest muzykiem i zapisuje nuty. Na początku ich reakcje mogą być odpychające. Więc trzeba mieć trochę grubej skóry, żeby przebić się przez ich i swój lęk.

BŁAŻEJ: Na przykład dotknąć bezdomnego – położyć rękę na czole, kiedy leży na ławce, sprawdzić, czy ma gorączkę. To ciekawe doświadczenie. A dla osób wykluczonych? Rewolucja! Bo to dobry dotyk, pełen miłości.

Skąd wiesz, że to dla wykluczonych rewolucja?

BŁAŻEJ: Płaczą. Mam mnóstwo takich scen. Na przykład kładę takiemu rękę na ramieniu, gadamy, cieknie mu łzy. Biorę rękę, on ją łapie, kładzie z powrotem i mówi: „Jeszcze chwilkę”. Papież Franciszek mówi: „Nie możemy bezdomnych traktować jak kiosku, poczty, drzewa, jak wrośniętych w krajobraz. Zainteresuj się, spytaj, jak możesz pomóc”.

Najczęściej: „Daj kasę”.

BŁAŻEJ: I my dajemy. I tak mówimy naszym wolontariuszom.

Piotr: Co ciekawe, od kiedy zaczęliśmy się spotykać na Plantach, mnie żaden bezdomny o pieniądze nie poprosił.

A Janina Ochojska mówi: nie dawać. Dla czego uważacie inaczej?

BŁAŻEJ: Moim zdaniem pytanie o wędkę i rybę to nie jest pytanie o to, jak pomagać, tylko o to, co posiadam i jaki mam do tego stosunek. Na papierosy dziennie wydaję 15 zł. Bezrefleksyjnie. A kiedy staje przede mną bezdomny, to włącza się paternalizm i teraz ja ze swojej sytej pozycji zaczynam kalkulować. Taka sytuacja: bezdomny źębrze, podchodzi do eleganckiej kobiety: „Da pani dwa złote?”. Kobieta długo się waha, w końcu mu daje, mówiąc: „Tylko niech pan nie przepije”. A on: „Dobrze, kupię sobie za to dom”.

Jak brata Alberta pytali, czemu daje bezdomnym śniadanie, odpowiadał: „Żeby nie pili na czczo”. Nie musisz dawać. Ale możesz spróbować – i zobaczysz, co ci to robi. Mieć zero na koncie jest szalenie uwalniające – jestem szczęśliwy, bo wiem, że te pieniądze wydałem na kogoś. Ja z dzielenia mam frajdę. Ale nie robię tego dla siebie.

Trochę też.

Piotr: Nauczyliśmy się, że bezinteresowność daje szczęście. Polecamy spróbować. Życie się wam wywróci do góry nogami.

BŁAŻEJ: Nam ktoś wmówił, że jak masz mnóstwo pieniędzy, jeździsz na wycieczki za granicę, jesz najlepsze posiłki, to jesteś szczęśliwy. Gówno prawda. Szczęśliwy jesteś wtedy, gdy ktoś jest z tobą. ●

REKLAMA

Miejsce pełne smaku

– Electrolux Taste Center

Eleganckie wnętrza w skandynawskim stylu położone w centrum Warszawy.

Nowoczesna przestrzeń do dzielenia się kulinarną wiedzą, talentem i pasją, wyposażona w najwyższej jakości sprzęt AGD. Centrum spotkań nie tylko ludzi, ale także smaków, aromatów i doznań.

To Electrolux Taste Center – miejsce, w którym w czasie warsztatów prowadzonych pod okiem doświadczonych szefów kuchni każdy może rozwijać swoje kulinarne pasje. To doskonała okazja, aby wspólnie z przyjaciółmi spędzić czas, a także świetny pomysł na prezent dla entuzjastów gotowania.

więcej na: tastecenter.pl



Electrolux

TASTE CENTER

NESPRESSO®



DOKONUJEMY WIELU WYBORÓW, BY ZAPEWNIĆ
NAJWYŻSZĄ JAKOŚĆ TWOJEJ KAWY. BEZ DRÓG NA SKRÓTY.
TO NASZE WYBORY POKAZUJĄ, KIM JESTEŚMY,
NIEPRAWDAŻ?

what else?

[NESPRESSO.COM/THECHOICESWEMAKE](https://nespresso.com/thechoiceswemake)